PL ISSN 0867-0404
Nr indeksu 365661

magazyn 997 kryminalny

• NR 12 (2003) • 18 VI 1995 r. • Cena 1 zł 20 gr (12 000 zł) •

OCHRONA PAPIEŻA

zdj. Krzysztof Mokrzyszewski

POLICJE ŚWIATA

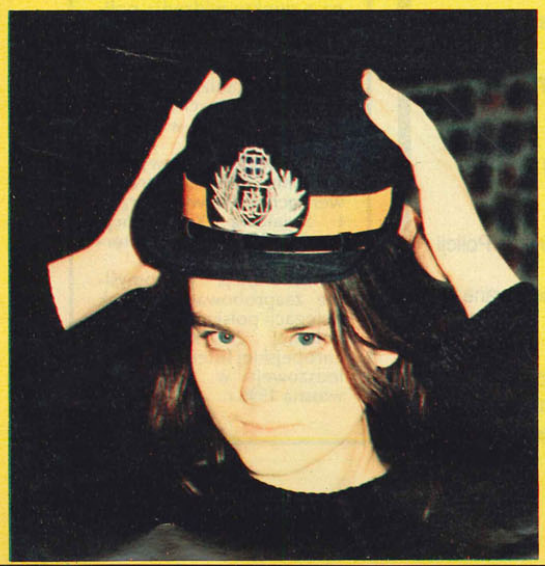

RELAKS Z DROGÓWKĄ

KOBIETA OFIARĄ

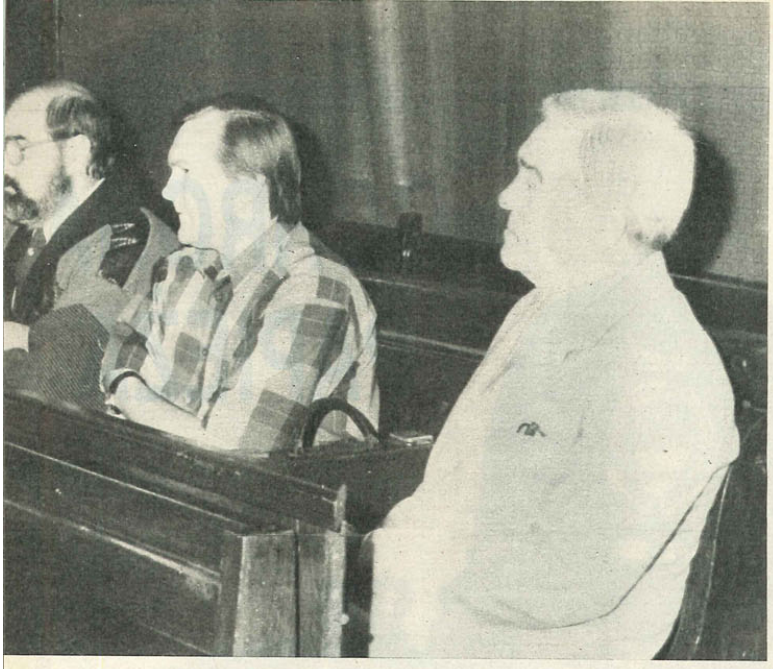

Proces w sprawie śmierci Grzegorza Przemyka

DYREKTOR NIE WIEDZIAŁ

22 maja 1995 r. przed Sądem Wojewódzkim w Warszawie rozpoczął się proces o spowodowanie śmierci 19-letniego Grzegorza Przemyka, który zmarł w wyniku pobicia 14 maja 1983 r. O czyn ten oskarżeni byli dwaj sanitariusze pogotowia ratunkowego i dwaj milicjanci. Pierwsi zostali skazani w procesie w 1984 r., milicjanci zaś uniewinnieni. Wobec ujawnienia, że ówczesne kierownictwo resortu spraw wewnętrznych wpłynęło na przebieg i wynik tamtego procesu przez manipulowanie oskarżonymi, świadkami i biegłymi, wyrok dotyczący milicjantów został przez sąd uchylony.

Nowy akt oskarżenia w tej sprawie wpłynął do Sądu Wojewódzkiego w Warszawie w 1993 r. (dokument ten szczegółowo omówiliśmy w nr. 10/1993 „Magazynu Kryminalnego 997", wcześniej zaś zamieściliśmy cykl artykułów o postępach śledztwa w tej sprawie). Na ławie oskarżonych ponownie zasiedli dwaj byli milicjanci Ireneusz K. (nadal jest funkcjonariuszem Policji) i Arkadiusz D. (obecnie emeryt). Są oni oskarżeni o to, że 12 maja 1983 r. na terenie XVIII Komisariatu MO przy ul. Jezuickiej w Warszawie wzięli udział w pobiciu Grzegorza Przemyka, co doprowadziło do zapalenia otrzewnej i śmierci chłopaka (art. 158 § 3 k.k.).

Trzecim oskarżonym jest Kazimierz O., były dyrektor Biura Dochodzeniowo-Śledczego KG MO (obecnie emeryt). Prokurator oskarżył go o utrudnianie pracy sejmowej komisji nadzwyczajnej powołanej do zbadania śledztwa w sprawie śmierci Grzegorza Przemyka oraz o wydanie polecenia w 1990 r. zniszczenia materiałów operacyjnych dotyczących tej sprawy (czego nie wykonano), tj. o czyny z art. 252 k.k. w związku z art. 58 k.k.

Pierwsi dwaj oskarżeni nie przyznali się do winy i skorzystali z prawa do odmowy składania wyjaśnień. Kazimierz O. złożył obszerne wyjaśnienia w śledztwie, które podtrzymał przed sądem oraz odpowiadał na pytania sądu i stron. Starał się wykazać że nie wydał polecenia zniszczenia akt dotyczących sprawy Przemyka, a nawet że takie polecenie byłoby bezsensowne. Twierdził, że gdyby ktokolwiek szukał tych akt, to tylko w kierowanym przez niego biurze. Poza tym nie poleciłby tego osobie, która jest teraz świadkiem oskarżenia, a w okresie pracy w KG MO była z oskarżonym w konflikcie.

Kazimierz O. usiłował zminimalizować swój udział w pozaprocesowych działaniach, których celem było obciążenie całą winą za śmierć Grzegorza Przemyka sanitariuszy pogotowia ratunkowego. Rozpoznawał własne podpisy na dokumentach tajnych specjalnego znaczenia świadczących o tych działaniach, ale twierdził, że podpisy te oznaczały tylko przyjmowanie do wiadomości informacji.

Swój udział w naradach specjalnej grupy pod przewodnictwem ówczesnego sekretarza KC PZPR Mirosława Milewskiego, powołanej do zajmowania się sprawą śmierci Grzegorza Przemyka, określał jako czysto formalny („byłem zapraszany i nie mogłem odmówić"). Ujawniona przez sąd notatka protokolanta z narady w KC, jaka odbyła się 14 lipca 1983 r., świadczyła o czymś przeciwnym, jednak oskarżony powiedział, że nie oddawała ona rzeczywistego przebiegu spotkania.

Inna ujawniona notatka, napisana ręką oskarżonego (czemu nie zaprzeczał), mówiła o potrzebie skłócenia ze sobą sanitariuszy, rozbicia ich solidarności tak, by wzajemnie siebie pomawiali o pobicie Przemyka. Oskarżony powiedział, że zawarł w niej jedynie czyjeś sugestie, jak często bywało.

Kolejny okazany oskarżonemu tajny dokument z jego podpisem dotyczył rozmów, jakie przeprowadzili pracownicy jego biura w Siedlcach, Zamościu i Przemyślu w maju 1984 r. ze świadkami — milicjantami oraz oskarżonym (wtedy podejrzanym) Ireneuszem K. Kazimierz O. przyznał, że istniał zespół do prowadzenia takich rozmów, złożony z pracowników KG MO i KS MO, ale odpowiednie polecenie wydał poza jego plecami nieżyjący już gen. Józef Beim — ówczesny komendant główny MO.

Oskarżony dodał, że nie wie, co poza jego wiedzą robili jego pracownicy, nie zna też wszystkich poleceń gen. Beima dotyczących sprawy Przemyka. Generał — powiedział Kazimierz O. — był znany w KG MO z takiego stylu pracy. Poza tym oskarżony nie wie wszystko był wtajemniczany, ponieważ mu nie ufano z powodu jego wcześniejszych (tzn. w okresie pełnienia funkcji komendanta wojewódzkiego MO w Radomiu) kontaktów z „Solidarnością".

HANNA ŚWIESZCZAKOWSKA
zdj. Krzysztof Potocki

REKLAMOWY HIT

MERCEDES, CURTIS, GERDA II
już to zrobili

Warto się znaleźć w takim doborowym towarzystwie
Oni wiedzą, jak się dobrze sprzedawać.

Reklama w „Magazynie Kryminalnym 997"
i „Gazecie Policyjnej"
jest SKUTECZNA i BEZPIECZNA
(promujemy tylko sprawdzonych i rzetelnych)

Spiesz się,

bo cena za swoisty certyfikat Komendy Głównej Policji jest niewygórowana.
Przyjmujemy zamówienia na artykuły sponsorowane i kompleksową usługę reklamową.

Nie zwlekaj!
Zgłoś się do Redakcji

tel. 60-161-15, 60-161-26
fax 60-168-67

24 Konferencja Interpolu

SUPERPOLICJANCI W LJUBLJANIE

W 24 Europejskiej Konferencji Interpolu, która odbyła się w dniach 10—12 maja 1995 r. w stolicy Słowenii Ljubljanie uczestniczyli przedstawiciele 41 państw. Obrady poświęcone były wypracowaniu strategii działania Interpolu na kontynencie europejskim w latach 1995—2000 oraz rozliczeniu z rezultatów pracy komórek organizacyjnych Sekretariatu Generalnego, grup roboczych, analizie pracy wybranych krajowych biur Interpolu, a także zasad i wyników współpracy Interpolu z organizacjami międzynarodowymi działającymi na kontynencie europejskim.

Prezydent Interpolu Bjorn Ericsson nakreślił priorytety działania w najbliższych latach, tzn. zwalczanie: przestępczości zorganizowanej, przestępstw przeciwko życiu i zdrowiu, czynów przeciwko dzieciom, przestępstw ekonomicznych i finansowych. W czasie trwania obrad omówiono także wiele zagadnień szczegółowych dotyczących głównych zagrożeń przestępczością w krajach członkowskich, np.: kradzieże i nielegalny obrót pojazdami silnikowymi, przestępstwa ekologiczne, poszukiwania osób ukrywających się przed odpowiedzialnością karną na terenie innych państw.

W Ljubljanie polską Policję reprezentowali insp. Andrzej Koweszko, dyrektor Krajowego Biura Interpolu KGP i nadkom. Hanna Ruszkowska, naczelnik wydziału w KBI KGP. Inspektor Koweszko jako przewodniczący grupy roboczej do Spraw Organizowania Strategii Wdrażania Analizy Kryminalnej złożył szczegółowy raport z działań grupy. W ocenie przewodniczącego Komitetu Europejskiego W. Taylora była to jedna z najsprawniej działających grup organizacji. Za bardzo ważną z punktu widzenia policji narodowych inicjatywę uznano napisanie przez grupę podręcznika o sposobach organizacji jednostek analitycznych, szkoleniu ekspertów i wiedzy o oprogramowaniu. Podręcznik będzie gotowy we wrześniu 1995 r. (w trzech wersjach językowych) przed I Światową Konferencją Analizy Kryminalnej Interpolu.

Konferencja jednomyślnie zaaprobowała wniosek delegacji polskiej o odbycie kolejnej 25 Konferencji Europejskiej Interpolu (jubileuszowej) w Warszawie, wiosną 1996 r.

oprac. AGW

KRAJOBRAZ PO BITWIE

O tym, że ta demonstracja może być szczególnie agresywna, policja miała informacje wcześniej. Tak twierdzi kpt. Zbigniew Skrzypczak, dowodzący pododdziałami zwartymi policji podczas zabezpieczania demonstracji w Warszawie 26 maja br. Przed wyjazdem do służby szczególnie więc uczulono policjantów, żeby nie dali się sprowokować.

Policjanci ze Stołecznego Oddziału Prewencji są bardzo młodzi, ale nie nowicjusze. W Warszawie nie ma przecież dnia, żeby nie zabezpieczali jakiejś imprezy. Również z udziałem posłów. A jednak to, co stało się 26 maja przed URM-em, przeszło wszelkie oczekiwania. Rozmiary agresji zaskoczyły policjantów, były momenty, że bali się o siebie i o kolegów.

Podczas zajść ranni i poszkodowani byli po obu stronach. Czterech policjantów nadal przebywa w szpitalu MSW w Warszawie. Ich stan zdrowia poprawia się. Trzech po okresie rekonwalescencji wróci do służby. O losie czwartego zadecyduje komisja lekarska...

Straty w sprzęcie są wprawdzie drugorzędne, ale i tu lista jest długa. Zniszczeniu uległo mnóstwo sprzętu, atakujący demonstranci połamali 32 tarcze, 45 pałek, 36 kasków i przyłbic, zniszczyli 150 płotków policyjnych, pocięli ponad 200 metrów liny zabezpieczającej. Kilkunastu policjantów ma całkowicie zniszczone mundury, podarte, poszarpane, oblane farbą, kilkunastu innych zostało „tylko" oblanych benzyną i obsypanych pyłem węglowym.

Trzeba będzie pokryć straty z ciągle zbyt małego budżetu policji, w którym brakuje pieniędzy na benzynę do radiowozów. Z czyjej kieszeni pokryte będą straty drugiej strony? Demonstrowali pracownicy upadających zakładów, którzy domagają się pomocy od państwa. Kto płacił za autokary i benzynę, za zakładowy sprzęt jak choćby styliska od kilofów czy śruby użyte do walki z policją...?

Obszernie o wydarzeniach 26 maja br. pisaliśmy w nr. 11 „Gazety Policyjnej" z 11 czerwca; m.in. omówiliśmy prawne aspekty takich zdarzeń, przytoczyliśmy wypowiedzi policjantów biorących udział w zabezpieczaniu manifestacji.

(el. em.)

zdj. „Rzeczpospolita"

WYBÓR ZDARZEŃ KRYMINALNYCH pod redakcją MARCELA TABORA

STÓJ, POLICJA!

ZABÓJSTWO TAKSÓWKARZA

W sobotę 27 maja między godziną 23.00—23.40 dokonano zabójstwa poznańskiego taksówkarza. Zdarzenie miało miejsce w Suchym Lesie przy ul. Fortecznej, nie opodal ogródków działkowych. Zwłoki znaleziono około 100 metrów od taksówki marki Polonez-Caro, kolor kawa z mlekiem, nr rej. PZN 94-74. Samochód wyposażony był w żółtego „koguta" na dachu od strony kierowcy. Miał dwie anteny, w tym CB — Radio. Nie było numerów bocznych taksówki.

Komendant główny Policji wyznaczył nagrodę w wysokości 50 milionów starych zł dla osoby, która przekaże informacje przyczyniające się do ustalenia i ujęcia sprawcy zabójstwa taksówkarza.

J. Ś.

JEDEN JUŻ SIEDZI

Jak podawaliśmy, 4 marca br. ok. godz. 11.30 dokonano bandyckiego napadu na autokar jadący do Turcji. Samochód wystartował sprzed Dworca Centralnego w Warszawie. W ślad za nim ruszył osobowy mercedes, jak się później okazało, skradziony w stolicy. Niedaleko miejscowości Sękocin turyści zostali sterroryzowani przez bandytów znajdujących się wewnątrz autokaru i w jadącym za nim mercedesie. Napastnicy wprowadzili autobus do lasu i tam ograbili turystów. Wymuszając posłuszeństwo ze strony kierowcy autokaru jeden z bandytów użył broni palnej, raniąc go w obojczyk.

Bezpośrednio po napadzie, policjanci z KSP podjęli energiczne działania operacyjno-śledcze. Ujawniono wiele śladów o znaczeniu kryminalistycznym, przesłuchano ofiary napadu i organizatorów wycieczki. Na podstawie rozmów i przesłuchań specjaliści wykonali portrety pamięciowe napastników. Skoncentrowane działania policyjne przyniosły już pierwszy efekt. Po dokładnym przygotowaniu operacyjnym policjanci zatrzymali 30-letniego mężczyznę, którego podejrzewa się o udział w napadzie na uczestników wycieczki do Turcji. Rozpoznały go osoby poszkodowane i zidentyfikowali pracownicy biura turystycznego. Prokurator zastosował tymczasowe aresztowanie. Trwają poszukiwania kolejnych członków bandyckiej grupy.

Aresztowany przez prokuratora mężczyzna był niedawno obiektem zamachu. Pod jego samochód nieznani sprawcy podłożyli bombę, nie osiągnęli jednak zamierzonego celu.

E. N.

KONKUBENT Z SAMOPAŁEM

O szczęściu w nieszczęściu może mówić 20-letnia Karolina B., którą postrzelono we własnym mieszkaniu.

Matka Karoliny — Zofia B., jak zwykle do późnych godzin nocnych raczyła się alkoholem ze swoim konkubentem Tadeuszem L., 31-letnim poznaniakiem. Gdy trunek mocniej uderzył do głów, ożywiona dyskusja i śpiewy zaczęły przeszkadzać śpiącej w sąsiednim pokoju córce gospodyni — Karolinie. Zapukała i poprosiła, żeby byli nieco ciszej.

Po kilkunastu minutach do pokoju Karoliny wszedł pijany Tadeusz L. i przez kołdrę przystawił lufę samopału do pleców córki swej konkubiny. Huknął strzał... Przerażona dziewczyna ratowała się ucieczką przez okno, pobiegła jak była — w bieliźnie — do swego narzeczonego, a ten odwiózł ją do szpitala. Okazało się, że w samą porę.

Pocisk kbks, którego użył sprawca, przebił jelito grube, jamę brzuszną i wydostał się na zewnątrz. Natychmiastowa operacja uratowała życie rannej dziewczyny.

Tadeusza L. po odebraniu mu samopału osadzono w policyjnej izbie wytrzeźwień. Prokurator przedstawił mu zarzut z art. 148 k.k. (usiłowanie zabójstwa).

W. G.

Statystyki są przerażające. Każdego roku na polskich drogach ginie 450—500 dzieci w wieku do lat 14. Nie ma dnia, by życie nie dopisywało nowych tragedii.

Jak wykazują policyjne raporty, dzieci uczestniczą średnio w co szóstym wypadku drogowym. Od wielu lat potrącenia pieszych, w tym zwłaszcza potrącenia dzieci, stanowią nierozwiązany, bolesny dla całego społeczeństwa problem.

RELAKS Z DROGÓWKĄ

JERZY PACIORKOWSKI

— Mimo że prawo sankcjonuje samodzielne poruszanie się po drogach dzieci, które ukończyły 7 lat — mówi Mirosława Jaworska z Biura Ruchu Drogowego KGP — to jednak kierowcy powinni zachować wyjątkową ostrożność, widząc na jezdni bądź w jej pobliżu pozostawionych bez opieki maluchów. 7—10-letnie dzieci, ze względu na swe predyspozycje psychofizyczne nie są jeszcze pełnosprawnymi uczestnikami ruchu drogowego. Mają rozproszoną uwagę, nie w pełni jeszcze rozwiniętą wyobraźnię przyczynowo-skutkową, potrafią skupić się na jakimś szczególe, nie dostrzegając istotnego zagrożenia na drodze. Wiele kłopotu sprawia im również określenie realnej odległości od nadjeżdżającego pojazdu, a niewielki wzrost ogranicza pole widzenia dziecka. O tym wszystkim powinni pamiętać rodzice i opiekunowie, pozwalający maluchom na swobodną zabawę poza domem.

Wśród niewielu instytucji w Polsce na poważnie zajmujących się problemem bezpiecznego uczestnictwa dzieci w ruchu drogowym poczesne miejsce należy się policji drogowej. Od lat problem ten stanowi priorytet w działaniach prewencyjnych drogówki. Bogate są również jej osiągnięcia w tym zakresie. Starsi czytelnicy zapewne pamiętają świetnie działające kiedyś harcerskie drużyny Młodzieżowej Służby Ruchu (MSR), akcję „Stop! Dziecko na drodze!" czy systematyczny udział policjantów drogówki w zajęciach szkolnych z uczniami podstawówek — żeby wymienić tylko te najważniejsze przedsięwzięcia. Dziś wreszcie wieloletnie i konsekwentne starania policji drogowej o to, aby zagadnienia wychowania komunikacyjnego najmłodszych trafiły do szkół, stały się faktem. Od września br. wszystkie podstawówki uzupełnią swój program „treściami drogowymi".

— Szukamy różnych form prewencyjnego oddziaływania na dzieci — mówi asp. Grażyna Komerska, kierownik sekcji propagandy BRD KGP. — Sięgamy też do tych niekonwencjonalnych, łączących zabawę z edukacją, takich jak konkursy, quizy czy festyny.

Niedawno jedna z takich imprez odbyła się na Rynku Nowego Miasta w Warszawie. Jej hasło przewodnie brzmiało: „Bezpieczeństwo ruchu drogowego — to życie! Chroń młode życie!" Imprezę zorganizowało Biuro Ruchu Drogowego KGP wspólnie ze stołeczną drogówką, Instytutem Transportu Samochodowego, Polskim Związkiem Motorowym oraz Główną Kwaterą Związku Harcerstwa Polskiego, a swoją obecnością uświetnili ją m.in. wicemarszałek Sejmu, pełniący zarazem funkcję przewodniczącego Rady Bezpieczeństwa Ruchu Drogowego Włodzimierz Cimoszewicz, komendant główny Policji nadinsp. Jerzy Stańczyk, a także przedstawiciele resortów transportu i gospodarki morskiej, edukacji narodowej oraz władz administracyjnych stolicy.

Festyn z drogówką ropoczął koncert Orkiestry Reprezentacyjnej Komendy Stołecznej Po-

licji. Po dziarskich marszach i paradnej musztrze przyszła kolej na konkursy i pokazy. Najmłodsi zdawali na kartę rowerową. Nie było dla nich żadnej taryfy ulgowej. Musieli wykazać się nie tylko doskonałym opanowaniem techniki jazdy, ale również odpowiedzieć na pytania z „kodeksu rowerzysty". W konkursie rysunkowym pt. „Bezpieczne ulice" główną nagrodę — kask motorowerowy — zdobył 12-letni Marcin Zieliński.

Było coś i dla dorosłych — turniej wiedzy na temat bezpieczeństwa ruchu drogowego. Nagrodę prezesa PZMot. — bezpłatny kurs na prawo jazdy — zdobyła Ewa Rybarska.

Wiele emocji warszawiaków wzbudziły pokazy rajdowej jazdy forda cosworth (efektownym poślizgom kontrolowanym sprzyjała mokra nawierzchnia) oraz występ policyjnych motocyklistów na japońskich hondach. Najmłodsi zapewne długo pamiętać będą te momenty, kiedy pozwolono im zasiąść za kierownicami potężnych jednośladów, a potem do woli dotykać przeróżnych guzików, lampek i wielu innych dziwnych rzeczy, w które wyposażono policyjne motocykle.

Miłośnikom „mocnego uderzenia" przygrywało kilka kapel rockowych: Lahdhaus Garden, Nottingham i Unnamed. Takiej liczby decybeli mieszkańcy Nowego Rynku i pobliskiej Starówki dawno nie słyszeli. Nic więc dziwnego, że niektórzy ostro zaprotestowali. Po niecałej godzinie koncert przerwano. Za to w kinie „Wars" swój występ muzyki poważnej dali uczniowie szkoły muzycznej przy ul. Bednarskiej.

Interesujących momentów na festynie było zresztą więcej. I to nie tylko dla dzieci. W sumie więc nasza drogówka pokazała się z jak najlepszej strony. Myślę, że zyskała też wielu nowych sympatyków płci obojga, udowadniając zarazem, że nie jest wcale taka sroga, że po prostu — da się lubić.

zdjęcia Krzysztof Mokrzyszewski

KTO SIĘ BOI GIC?

Z prezesem Generalnego Inspektoratu Celnego LECHEM KACPERSKIM rozmawia Elżbieta Cierlica

— Ponad dwa lata temu decyzją rządu został powołany Generalny Inspektorat Celny. Zapowiadano umocowanie ustawowe policji celnej, ale jakoś do tego nie doszło. Jaka więc jest dziś sytuacja prawna GIC?

— Taka sama, jak w chwili powołania. Jest on jednym z departamentów Głównego Urzędu Ceł. Jego komórki terenowe przechodziły natomiast różne losy. Raz były powoływane, drugi raz odwoływane. Ich sytuacja prawna nadal nie jest rozstrzygnięta.

Uważaliśmy, że instytucja, która wypełnia lukę w działalności Straży Granicznej, Policji, Urzędu Ochrony Państwa powinna mieć umocowanie ustawowe. Nie można bowiem dopuścić do tego, żeby uwarunkowania polityczne czy indywidualne opinie kolejnych prezesów GUC decydowały o tym, czy policja celna jest w danym okresie potrzebna czy nie, jakie ma mieć zadania, jaki zakres oddziaływania na sferę gospodarki itd., itd.

— Poselski projekt ustawy o policji celnej został wniesiony do Sejmu i wygląda na to, że nic się nie dzieje?

— Ustawa jest po pracach podkomisji sejmowej i czeka... Wygląda na to, że jest zablokowana przez pewne lobby, które nie chce dopuścić do powstania inspekcji celnej.

Projekt opracowany przez podkomisję powinien trafić na posiedzenie połączonych komisji Administracji i Spraw Wewnętrznych, Ustawodawczej, Współpracy Gospodarczej z Zagranicą i Budżetowej. I albo powinien być zaakceptowany i skierowany na posiedzenie Sejmu, albo zwrócony do ponownego opracowania do podkomisji. Tymczasem nie dzieje się nic.

— Czy brak ustawy ogranicza pracę GIC?

— Oczywiście. Ciągle nie rozstrzygnięty jest status tej instytucji. Nie wiadomo, czy ma być ona niezależna, czy ma być częścią administracji celnej? Nie został ustalony zakres działalności. Nie są określone uprawnienia GIC. W projektowanej ustawie przewiduje się trzy procedury postępowania: kontrola podmiotów gospodarczych w ramach k.p.a., karna, związana z przepisami ustawy karno-skarbowej, k.k. i innymi, np. ustawy o obrocie gospodarczym i prawach autorskich oraz operacyjna — typowa dla policji.

— Jakie są rozwiązania, jeśli chodzi o tego typu instytucje, na świecie?

— Policje celne istnieją we wszystkich krajach Unii Europejskiej oraz w Stanach Zjednoczonych, Kanadzie i innych krajach, które od wielu lat prowadzą gospodarkę wolnorynkową. Mają one różne zadania, ale główny nurt zbliżony jest do tego, co zaprojektowano w ustawie wniesionej przez 200 posłów. A więc: kontrola obrotu gospodarczego z zagranicą pod względem prawidłowości i uczciwości, kontrola obrotu narkotykami i półproduktami do wyrobu narkotyków, ochrona praw własności intelektualnej, sfera spraw związanych z obrotem substancjami podwójnego przeznaczenia, np. substancjami radioaktywnymi, substancjami do produkcji broni chemicznej, biologicznej itd.

— Pewne ramy działania służb celnych narzuca Światowa Organizacja Celna, która dla celników jest tym, czym Interpol dla policjantów. Jakie to są „ramy"?

— WCO, tak w skrócie brzmi nazwa Światowej Organizacji Celnej, jest dość potężną instytucją, która zrzesza większość organizacji celnych na świecie. Jest to małe ONZ celnictwa. Zajmuje się problemami związanymi z celnictwem, obrotem gospodarczym, współpracą z partnerami, którzy funkcjonują wokół cła: agencjami celnymi, składami celnymi, towarzystwami transportowymi, producentami, ubezpieczycielami itd. Zajmuje się również koordynacją działań tych służb celnych, które wykonują zadania policji celnej, informując np. o drogach przemytu towarów, o sposobach transportu.

Ale nie jest to jedyna instytucja celna, z którą współpracujemy. Duże efekty daje bezpośrednia współpraca z Zollkriminalamt — niemiecką policją celną, policją celną krajów skandynawskich, brytyjską, francuską... Współpracujemy bowiem ze wszystkimi policjami celnymi krajów Unii Europejskiej, a także Stanów Zjednoczonych, Kanady. Udaje nam się też wydobyć informacje od policji celnych z Hongkongu, Tajlandii, Tajwanu...

— Czy obecne usytuowanie polskiej policji celnej — departament GUC — nie utrudnia współpracy zagranicznej?

— Wielostopniowość akceptacji działań wpływa niewątpliwie na opóźnienie pewnych decyzji, ale dotyczy to przede wszystkim wyjazdów, a nie podpisywania umów o współpracę. Dopracowaliśmy się już takiej współpracy z centralą, że decyzje dotyczące policji celnej możemy podejmować sami, bez pośrednictwa i oczekiwania na akceptację. Dzięki temu współpracujemy z 26 policjami celnymi na świecie. Jest to niezwykle ważne, gdyż z tych państw możemy uzyskać do spraw prowadzonych przez nas lub administrację celną dokumenty handlowe, możemy zwrócić się o weryfikację dokumentów przedstawionych przez przewoźnika itd.

— I gdzie one trafiają?

— Do odpowiednich komórek GIC.

— Przedstawmy może przy tej okazji jego strukturę organizacyjną?

— Składa się on z: Biura Administracyjnego, które ułatwia obsługę i trzech biur mery-

torycznych: Operacyjno-Rozpoznawczego, Powtórnej Kontroli Celnej i Inspekcji. Nazwy trzech pierwszych biur są wystarczająco czytelne i nie trzeba omawiać zakresu ich działań. Biuro Inspekcji ma natomiast dwa zadania: pierwsze to wyjaśnianie wszystkich spraw, które napływają do GIC i wiążą się z działalnością celników w sensie negatywnym — było ostatnio sporo spraw o przekupstwo, drugie to ochrona celników (często również fizyczna) przed działalnością z zewnątrz. Trzeba bowiem pamiętać, że ten zawód staje się ostatnio niebezpieczny.

Departament ma również trzy jednostki terenowe — Regionalne Inspektoraty Celne w Białymstoku, Lublinie i Krakowie. Obecnie organizowane są w Poznaniu i Szczecinie.

— Czy jest to etatowo armia ludzi i dlatego tak wloką się sprawy związane z prawnymi uregulowaniami, bo trzeba znaleźć fundusze?

— Stan etatowy GIC wynosi 176 osób — na całą Polskę. Z naszych analiz wynika, że należałoby rozbudować sieć Regionalnych Inspektoratów Celnych, na których spoczywa główny ciężar pracy wykrywczej i celnej, do 17 miast wojewódzkich. A liczba pracowników GIC, przy założeniach, że będą to dobrze wyszkoleni specjaliści, nie powinna przekroczyć 1500. Można także dokonać pewnych korekt w GUC. Istnieją tam bowiem komórki operacyjne, które można wykorzystać w działalności GIC.

Ważne jest również wyposażenie techniczne tych służb i dostęp do zbiorów informacyjnych różnych instytucji tak, jak to jest w krajach Unii Europejskiej. Sam GIC ma być centralą informatyczno-analityczną, zbierającą informacje ze wszystkich dostępnych źródeł, przetwarzającą, typującą do kontroli, wskazującą na zjawiska negatywne w obrocie gospodarczym, które wymagają regulacji lub którym trzeba zapobiegać.

— Jakie dziś występują niekorzystne zjawiska w obrocie gospodarczym?

— Polska administracja celna w obecnym kształcie nie jest przygotowana do obsługi tak potężnego przepływu ludzi, towarów i dokumentów, jaki ma miejsce w ostatnich latach. W 1989 roku, kiedy powstawało nowe prawo celne, kilkanaście central monopolizowało obrót gospodarczy z zagranicą. Dziś jest ponad 86 tys. podmiotów zarejestrowanych, które mają prawo do obrotu gospodarczego z zagranicą i ciemna liczba nie zarejestrowanych, które tego obrotu de facto dokonują.

Infrastruktura przejść granicznych nie była i nadal nie jest przygotowana do ruchu, jaki powoduje wolny rynek w handlu zagranicznym. Gdy ruszyła lawina handlujących, polskie służby celne miały zaledwie 3,5 tys. celników. Obecnie jest ich 11 tys. W porównaniu np. z RFN, gdzie służby celne liczą 40 tys. pracowników, choć kontrolowana jest tylko granica na Wschodzie czy nawet z Czechami lub Słowacją, gdzie liczą po 8 tys., przy znacznie mniejszej liczbie przejść granicznych i mniejszym ruchu, polskie służby celne nie dysponują wystarczającymi siłami. Jeśli doda się do tego, że kadra jest młoda, wymaga nie tylko przeszkolenia podstawowego, lecz także specjalistycznego, że brak jest odpowiedniego wyposażenia technicznego, np. komputeryzacji, środków łączności, co jest niezwykle ważne w administracji celnej, przyspiesza bowiem odprawy, przyspiesza pobór ceł i podatków, uszczelnia system, powoduje odpowiednią weryfikację dokumentów, to trzeba otwarcie powiedzieć, że pracując „na piechotę" nie jesteśmy w stanie skutecznie zahamować przestępczości gospodarczej w obrocie zagranicznym.

— Argumenty są słuszne, ale może zbyt wiele oczekujecie? Administracja celna należy do najlepiej opłacanych w kraju?

— Należałoby wreszcie obalić ten mit, że w administracji celnej zarabia się bardzo dobrze. Średnia płaca celnika wynosi 448 zł, stażysty 270 zł. Te zarobki wzbogacamy o premie, które, niestety, z roku na rok stają się mniejsze, gdyż wpływy na tzw. środki specjalne z roku na rok maleją, potrzeby natomiast rosną, szczególnie inwestycyjne. Najwyższa premia nie przekracza więc 90% uposażenia miesięcznego.

Nasze wymagania nie są wygórowane. W ubiegłym roku tylko dzięki pracy GIC, a więc 170 osób, do budżetu państwa trafiło 156 mld złotych. Z działalności całej administracji celnej wpłynęło 170 bln zł, co stanowi 28% budżetu państwa. Cło to przysłowiowa kura znosząca złote jajka i dobrze by było, żeby uświadomić to decydentom, którym zależy na wpływach do budżetu państwa, żeby tej kury nie podduszali, bo każde rozregulowanie przy tym poziomie obrotu finansowego może spowodować bilionowe straty. A za podduszanie uznaję zbyt mały budżet na służby celne. W krajach Unii Europejskiej administracja celna konsumuje od 3 do 5% sum, które uzyskuje dla budżetu państwa. W naszym budżecie administracja celna otrzymuje zaledwie 1% wypracowanych zysków, co pozwala na bieżącą, bardzo skromną działalność.

Zawsze, gdy mówi się o deficytach budżetowych, o jakimś dofinansowaniu, korektach budżetowych, patrzy się w kierunku cła, czy nie może ono jeszcze czegoś wycisnąć. Ale nie ma tej odwzajemnionej miłości. A bez tego nie da się skutecznie pracować.

— Czy są zapowiedzi, że zmieni się coś na lepsze?

— I tak, i nie. W minionym roku wiele było propozycji zmian w ustawie Prawo celne, które po 5 latach stosowania wymaga nowelizacji, ale nie zyskały one akceptacji podczas konsultacji międzyresortowych i utknęły w biurkach. Jesteśmy jednak nieustępliwi i staramy się o wprowadzenie zmian w stosunku do obowiązujących obecnie przepisów. Jeśli rząd poprze przedłożony mu projekt i Sejm go zaakceptuje, od nowego roku będzie obowiązywał kodeks celny. Zawierać on będzie rozszerzenie i unifikację wielu procedur i gwarancji dla obrotu towarowego, ujednolicenie dokumentów, umożliwienie odbywania podróży z jednym pakietem dokumentów przez wiele państw.

Administracja celna, według tego dokumentu, ma służyć obrotowi gospodarczemu, a nie powodować utrudnienia. Ten kodeks jest dostosowany do przepisów obowiązujących kraje Unii Europejskiej. A zatem i nas zbliży do Europy. I to jest ta zapowiedź na tak.

— A na nie?

— Komplikacje w sprawie ustawy o policji celnej. Narodziła się bowiem nowa koncepcja Inspekcji Celno-Skarbowej polegająca na połączeniu Urzędów Kontroli Skarbowej z Generalnym Inspektoratem Celnym. Merytorycznych argumentów tej koncepcji nie znam, ponieważ nikt dotychczas ich nie przedstawił. Wygląda na to, że komuś zależy na tym, aby opóźnić nowelizację ustawy: o kontroli skarbowej i uchwalenie ustawy o policji celnej, powołującej oraz określającej działania GIC. Każdy miesiąc zwłoki powoduje, że znaczne kwoty z ceł i podatków nie wpływają do budżetu państwa. Straty są ogromne, ale dyskusja trwa...

Nigdzie na świecie, za wyjątkiem Włoch, gdzie służby te są zmilitaryzowane, nie stosuje się takich rozwiązań. Jeśli mamy wejść do UE, to starajmy się ujednolicać przepisy, a nie tworzyć odrębne. Połączenie tych dwóch służb i stworzenie jednej, która w sposób kompleksowy, nie chcę użyć określenia totalny, kontrolowałaby cały obrót gospodarczy w państwie zarówno podmiotów prywatnych, jak i państwowych, mogłaby bardzo szybko stać się elementem gry politycznej, co dla nowej demokracji nie byłoby korzystne.

— Niekorzystna jest również obecna sytuacja prawna?

— To zbyt słabo powiedziane. Pozwala ona na przeciekanie przez granice bilionów złotych, które powinny wzbogacić budżet państwa.

Dziękuję za rozmowę

zdj. Krzysztof Potocki

UJĘLI PRZEMYTNIKÓW

16 kwietnia br. w kontenerze płynącym na statku „Euro Quinto" z Nigerii do Gdyni ujawniono 2 t 81 kg i 79 dkg marihuany, szacunkowej wartości 165 mld starych złotych.

W wyniku podjętych działań operacyjnych, szczególnie aktywnych na terenie woj. legnickiego, 26 kwietnia zatrzymano 4 organizatorów, przemytników i odbiorców narkotykowej przesyłki: obywatela Wielkiej Brytanii i jego żonę Polkę oraz dwóch obywateli Holandii. Ci ostatni zostali zatrzymani na terenie woj. gdańskiego.

Funkcjonariusze, którzy wyróżnili się w antynarkotykowej operacji, 13 maja zostali zaproszeni do Komendy Głównej Policji, gdzie nadinsp. Jerzy Stańczyk uhonorował ich premiami pieniężnymi.

Prócz komendanta głównego w uroczystości wzięli udział: insp. Krzysztof Jabłoński, dyrektor Biura Operacyjno-Rozpoznawczego, insp. Andrzej Buczyński, dyrektor Biura do Walki z Przestępczością Zorganizowaną oraz insp. Bogusław Kwiatkowski, dyrektor Biura Techniki Operacyjnej.

Gratulując funkcjonariuszom wyróżnień, komendant główny podkreślił, że tylko w nieznacznym stopniu oddają one szacunek za dotychczasowe osiągnięcia służbowe nagrodzonych.

P. SZLACHETKO

zdj. P. Kacak

Z WIZYTY OJCA ŚWIĘTEGO

NIEWIDOCZNI W TŁUMIE

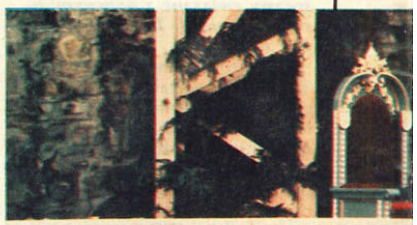

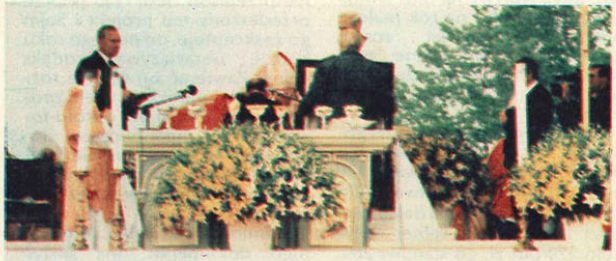

Wizyta Papieża trwała zaledwie 9 godzin, przygotowania do niej — blisko 900.

Pielgrzymka w naszym kraju miała charakter nieoficjalny, gdyż Jan Paweł II przybył na zaproszenie nie Episkopatu czy władz państwowych, lecz biskupa diecezji bielsko-żywieckiej, w niczym jednak nie ułatwiło to pracy ludziom odpowiedzialnym za papieskie bezpieczeństwo. Już na ponad miesiąc przed nią w Biurze Ochrony Rządu rozpoczęto opracowywanie szczegółowego planu ochrony — tym trudniejszego, iż obejmować on musiał nie tylko osobę Ojca Świętego, ale i prezydenta, premiera oraz kilkudziesięciu VIP-ów, którzy zostali zaproszeni na spotkania z gościem.

Ekipy funkcjonariuszy pojechały do Bielska-Białej, Skoczowa i Żywca — miast, w których miały być odprawione msze. Zapoznawały się z topografią terenu, nawiązywały kontakty z miejscowymi ko-

mendami Policji, straży miejskich, a także z organizatorami kościelnej służby porządkowej. Rozrysowano trasy przejazdów — główne i zastępcze, na wypadek, gdyby na pierwotnie przewidywanej drodze zaistniało jakieś niebezpieczeństwo. Ustalono, w których miejscach papa-mobil zatrzyma się, by przynajmniej część spośród wyczekujących wzdłuż szos ludzi mogła przywitać się z Ojcem Świętym.

— Nie chciałbym, aby moje słowa zostały niewłaściwie zrozumiane, ale zawsze to my dobieramy miejsca takich spotkań — mówi agent BOR. — Bynajmniej nie ze względu na osoby znajdujące się w tłumie, lecz na samo miejsce. Niepożądane byłoby na przykład, gdyby znajdowało się tam naturalne zagłębienie, co tylko utrudniłoby bezpośrednią rozmowę Ojca Świętego z wiernymi.

Niezwykle starannie przygotowano też zaplecze medyczne. Na miesiąc przed przybyciem Papieża do rodzinnego kraju, strona watykańska dostarczyła pełną informację o stanie jego zdrowia. Polacy byli zobowiązani do sporządzenia określonych zestawów leków, które w razie potrzeby mogły być podane pacjentowi.

★ ★ ★

Kiedy rankiem 22 maja na skoczowskiej Kaplicówce rozległy się okrzyki: „Witamy Ojca Świętego, witamy Ojca Świętego", wszystko było już od dawna zapięte na ostatni guzik. Wokół Jana Pawła II roztoczono kilka tzw. kręgów bezpieczeństwa. W zerowym, a zatem bezpośrednio przy Papieżu wolno było przebywać jedynie osobistej ochronie, przedstawicielom polskich władz państwowych, hierarchom kościelnym oraz specjalnie zaproszonym gościom. Kolejne obejmowały już samych wiernych i wmieszanych w tłumy agentów BOR oraz policji. Na obrzeżach jednego z ostatnich kręgów, np. na dachach domów, rozmieszczono strzelców wyborowych. Ich zadaniem była kontrola górujących nad okolicami wzniesień, budynków itd., aby wykluczyć możliwość ewentualnego zamachu z takich właśnie miejsc.

Jeszcze dalej znajdowało się 7 tys. policjantów ściągniętych z 22 województw i drugie tyle żołnierzy, strażaków, funkcjonariuszy straży miejskich i członków kościelnej służby porządkowej, strzegących ładu i spokoju na Podbeskidziu. We wszystkich okolicznych szpitalach ogłoszono ostre dyżury, trzymając w pogotowiu sale operacyjne. Samego Ojca Świętego zaś nie odstępowało dwóch lekarzy, którzy przez cały czas wizyty nie mogli się znaleźć dalej niż 100 metrów od osoby Papieża.

Ponad pół miliona osób, które przybyły do Bielska-Białej, Skoczowa i Żywca na spotkania z Janem Pawłem II zapewne nie zdawało sobie sprawy z ogromu tych przygotowań. Prawdopodobnie żadna też nie dostrzegła, że niektórzy z wiernych uważnie studiują zdjęcia jakiegoś mężczyzny. Funkcjonariusze BOR i policji otrzymali bowiem portret niezrównoważonego psychicznie człowieka, o którym uzyskano informacje, że odgrażał się, iż zabije Papieża. Szaleniec nie pojawił się na szczęście na Podbeskidziu, przynajmniej nie został zauważony.

★ ★ ★

— Chyba będę musiał przenieść Piotrową Stolicę do Żywca — zażartował Ojciec Święty, gdy zgromadzony na rynku 20-tysięczny tłum po raz kolejny śpiewał mu „Sto lat". Długo, naprawdę długo żegnali Polacy swojego Papieża. Najdłużej chyba dzieci, do których podszedł On już po oficjalnej części spotkania na żywieckim rynku. Niemal wciągnęły go w swoje grono, nie chcąc puścić do papa-mobila. Tak spontaniczna reakcja przysporzyła zapewne nieco nerwów osobistej ochronie Papieża. Napięty do granic możliwości plan wizyty zmuszał do jak najszybszego wyruszenia na lotnisko, nade wszystko zaś należało zadbać o bezpieczeństwo Ojca Świętego w tej nieco nietypowej sytuacji.

I, jak zawsze, skutecznie, ale dyskretnie — by bez potrzeby nie zakłócać tych paru chwil wzruszenia u kontaktujących się z Papieżem osób. Raz jeszcze okazało się, jak bardzo potrzebne jest nieustanne powtarzanie tych samych elementów. Ci z funkcjonariuszy BOR, którzy wyznaczeni zostali do osobistej ochrony Jana Pawła II, przygotowywali się do takiego momentu kilka lat. Tyle bowiem trwa szkolenie agenta, który po uzyskaniu najwyższych umiejętności przygotowywany jest do ochrony najważniejszych „obiektów", jak w zawodowym żargonie

mówi się o koronowanych głowach, prezydentach, premierach...

tekst: PRZEMYSŁAW KACAK
PAWEŁ SZLACHETKO
zdjęcia: PRZEMYSŁAW KACAK

PS *Autorzy serdecznie dziękują funkcjonariuszom Biura Ochrony Rządu, którzy wydatnie przyczynili się do powstania tego reportażu.*

WŁOCHY

ELITARNA FORMACJA

— „Jeżeli jesteś odważny i nie boisz się życiowej próby, jeżeli chcesz dawać z siebie wszystko to, co najlepsze, jeżeli chcesz nauczyć się pokonywać najtrudniejsze nawet przeszkody i przy tym wszystkim mieć bardzo dobre zarobki, wstąp do służby czynnej karabinierów. Jeśli po rocznej służbie obowiązkowej dojdziesz do wniosku, że jest to dokładnie to, o czym marzyłeś, zostań z nami już na zawsze. Pamiętaj tylko, że dbając o bezpieczeństwo innych nie możesz sobie pozwolić nawet na chwilę słabości i niezdecydowania" — tak brzmi oferta karabinierów skierowana do mężczyzn w wieku poborowym. Tym bardziej zachęcająca, że roczna służba w żandarmerii „zalicza" obowiązkową służbę wojskową. Chętnych zatem nie brakuje, wielu też po dwunastu miesiącach składa podanie z prośbą o stałe zatrudnienie w formacji.

Wbrew pozorom nie jest to takie proste i tylko nielicznym udaje się wcielić do prawdziwych szeregów czarnych mundurów. Kandydat na karabiniera musi spełniać wiele warunków. Średnie wykształcenie jest tu podstawą, aczkolwiek preferowani są ludzie posiadający dyplom wyższej uczelni. Kandydat na oficera musi ponadto zaliczyć tekst z wiedzy ogólnej, przejść przeszkolenie z takich przedmiotów, jak socjologia, psychologia i geografia oraz odznaczać się wysokim morale. Jeżeli chodzi o aspekty zewnętrzne, mile widzani są młodzieńcy wysocy, przystojni, o mądrym spojrzeniu. Mimo woli nasuwa się tu skojarzenie z inną, również elitarną formacją, działającą przed pięćdziesięciu laty w Trzeciej Rzeszy, zwłaszcza jeśli dojdzie tu porównanie mundurów. Czarny uniform karabinierów, charakterystycznie wydłużona czapka, nienagannie biała koszula z czarnym krawatem — to wszystko do złudzenia przypomina ubiór oficerów SS. Na tym jednak wszelkie podobieństwo się kończy. Karabinierzy cieszą się ogólną sympatią i poważaniem; dla odwiedzających Italię turystów są nieodłącznym elementem włoskich miast. Strach wzbudzają jedynie u tych, którzy mają coś na sumieniu.

Jaka jest tak naprawdę różnica między policją a karabinierami, oczywiście poza wszystkimi cechami, które określają żandarmerię, dlaczego młodzi ludzie chętniej dołączają do tej właśnie formacji — zapytałam ofi-

FRANCJA

DUSICIELE CZY OFIARY NAPAŚCI?

Dwoje sześćdziesięciolatków, którzy spądzali noc w domku letniskowym koło Sein-et-Marine, usłyszało podejrzane odgłosy mogące świadczyć o tym, że ktoś próbuje się włamać. Sprytnie zaczaili się na napastników, schwytali ich, skrępowali dokładnie i załadowali do samochodu, żeby odwieźć na najbliższy posterunek policji.

W czasie jazdy jeden z włamywaczy — czternastoletni chłopiec zmarł na skutek uduszenia.

Przeciwko sprawcom śmierci włamywacza wszczęto śledztwo.

GWAŁTY W PODZIEMNYM PARKINGU

W Créteil policja zatrzymała piętnastoletniego chłopca. Jest podejrzany o zgwałcenie dwudziestopięcioletniej kobiety, która była w siódmym miesiącu ciąży. Zgwałcił ją w podziemnym parkingu grożąc bezbronnej nożem. Uciekł z miejsca przestępstwa skradzionym ofierze samochodem.

Przyznał się do popełnionego czynu, a także do innego zgwałcenia popełnionego również w podziemnym parkingu.

wg „L'EVENEMENT DU JEUDI"
oprac. Z.Z.

NIEMCY

POLICJA WALCZY Z WRAKAMI SAMOCHODOWYMI

Jeszcze do niedawna, zwłaszcza, w b. NRD, przy drogach, autostradach, w lesie można było zobaczyć dziesiątki zdezelowanych trabantów czy wartburgów. Dziś jest to widok coraz rzadziej oglądany. Odstraszają konsekwencje.

Policja nie od razu ściga właściciela. Najpierw na szybie — o ile taka zachowała się — przykleja ostrzeżenie, że takie postępowanie narusza ustawę o składowaniu odpadów. Dopiero, gdy delikwent nie zareaguje, wszczyna się postępowanie, które może zakończyć się nałożeniem grzywny nawet do 10 tysięcy marek. Dzięki numerom silnika i podwozia wykrycie posiadacza „byłego" samochodu nie jest trudne. W ostatnim czasie w b. NRD skompletowano rejestry i na bezkarność nia ma co liczyć.

Jeszcze do niedawna niektórzy właściciele „mydelniczek", czyli trabantów, jeździli do Polski i tam albo je sprzedawali za bezcen, np. Rumunom, albo porzucali zaśmiecając lasy. Na szczęście, proceder ten dziś zanikł.

Państwo niemieckie stara się utrudnić wyrzucanie wraków. Niektóre urzędy komunikacyjne zaczęły żądać przy wyrejestrowywaniu wozu zaświadczenia, że został odstawiony na złomowisko.

(gi)

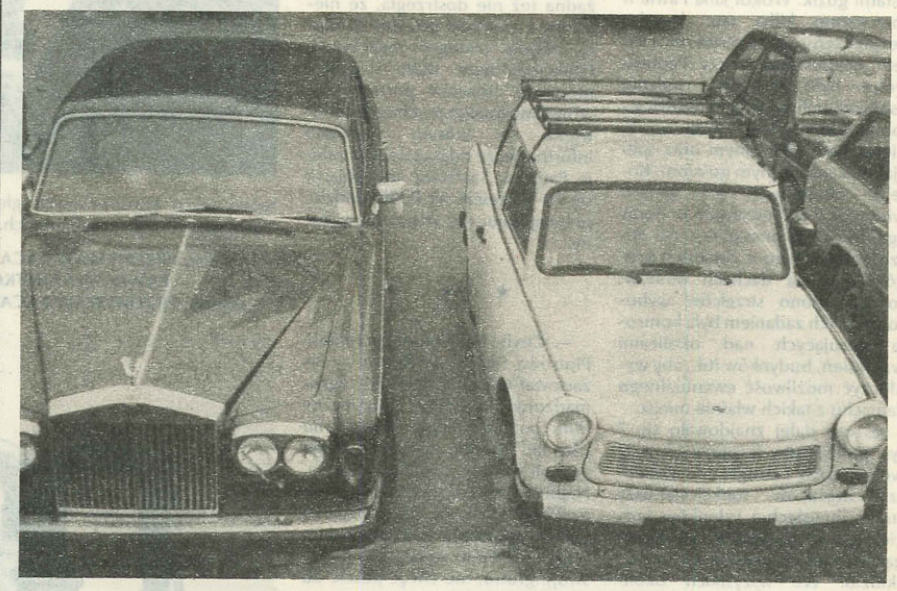

cera jednego z florenckich komisariatów. Mój rozmówca spojrzał na mnie niemal ze zdziwieniem: „— Ależ różnica jest znaczna! Tak jak na przykład między zwykłą piechotą a marynarką wojenną. Do dziś dnia w Europie synowie rodzin królewskich odbywają służbę wojskową właśnie w tej ostatniej. Bycie oficerem marynarki to zaszczyt i prestiż, którego doświadczaja nieliczni. Podobnie jest z nami. My bardzo starannie dobieramy kadrę, stosujemy zasady ostrej selekcji nie tylko przed przyznaniem stopnia oficerskiego i włączeniem do stałej służby, ale także podczas jej trwania. Kto się nie sprawdzi, musi zmienić zawód."

Jeżeli chodzi o kontakty karabinierów z samą policją — bywa różnie. Jak wszędzie, także i tu istnieje wzajemna rywalizacja, lecz tylko wtedy, gdy chodzi o drobniejsze sprawy. Godna podziwu jest natomiast solidarność i współpraca obu instytucji przy zwalczaniu mafii i całej zorganizowanej przestępczości. Jakakolwiek niechęć, wynikająca z czysto ludzkich słabości, znika wówczas bez śladu. Wszyscy doskonale zdają sobie sprawę z tego, że gdy w grę wchodzą poważne kwestie, nie ma już miejsca na najmniejsze chociażby animozje, które zawsze zmniejszają skuteczność działania.

Na zakończenie warto jeszcze zacytować popularną dewizę karabinierów, dotyczącą samej służby, przywodzącą na myśl legendarne hasło muszkieterów: „Dobrze dla ciebie, jeszcze lepiej dla innych".

MONIKA SOKALSKA

HOLANDIA

NARKOTYKI POLITYCY I PIZZA

Radni miejscy holenderskiego miasta Rotterdam zdecydowali, że narkomani, którzy nie rokują szans na rehabilitację, od początku czerwca będą otrzymywali nieodpłatnie dzienną dawkę środków odurzających.

Zastosowanie tej kontrowersyjnej metody w zwalczaniu narkomanii usankcjonowała minister zdrowia pani Elsa Borsta. Narkotyki będą dostępne w ośrodkach opieki medycznej.

Pani minister przyznała, że wprowadzona przez nią metoda jest na razie eksperymentalnym sposobem rozwiązania problemu narkomanii. Ten sposób leczenia, prowadzony pod ścisłą kontrolą lekarską, będzie obejmował osoby silnie uzależnione od środków odurzających.

Decyzja władz Rotterdamu rozpętała polemikę w Wielkiej Brytanii. Zwolennicy metody zastosowanej w Holandii skierowali petycje do władz, domagając się zalegalizowania „spożycia marihuany".

Dyrektorka jednego z centrów pomocy dla młodzieży uzależnionej jest zdania, że tak zwane „miękkie narkotyki" — takie jak marihuana — stanowią dla dzisiejszej młodej generacji odpowiednik piwa lub ginu z tonikiem. Uważa ona, że nie należy traktować w identyczny sposób narkotyków „miękkich", akceptowanych jako pewien styl życia młodych ludzi, i narkotyków „twardych", stanowiących zagrożenie dla społeczeństwa.

Nie czekając na decyzję władz w sprawie zalegalizowania „miękkich" środków odurzających, pewien mieszkaniec amerykańskiego miasta Hamilton, w stanie New Yersey, postanowił sam uszczęśliwić swoich klientów.

Dwudziestoletni Rayan Kemble, zajmujący się zawodowo rozwożeniem zamawianej telefonicznie pizzy, dostarczał ją... „przyprawioną" marihuaną.

Jego intratna kariera skończyła się, gdy odbiorcami jednej z jego dostaw okazali się... tajni policjanci.

Chęć szybkiego wzbogacenia się będzie kosztowała młodego człowieka najwyższy przewidziany prawem tego stanu wymiar kary, czyli pięć lat pozbawienia wolności.

M.A.K.

ESTONIA

PRZESTĘPCZOŚĆ POZA KONTROLĄ PAŃSTWA?

Zdaniem dr. praw Ando Lepsa, doradcy ministra spraw wewnętrznych Estonii, przestępczość w tym kraju wyszła już spod kontroli państwa. Po długoletniej okupacji radzieckiej społeczeństwo tej małej republiki zostało owładnięte chęcią bogacenia się za wszelką cenę.

Nie ulega wątpliwości, że odradzające się na mapie świata państwo ma słabe struktury władzy. Wszystkie instytucje działają niezadowalająco: rząd i jego organy, granice w praktyce nie istnieją, niedostatecznie funkcjonuje policja. Wydaje się, że w republice działają takie wpływowe siły, które pragną rządów anarchii. Państwo nie jest zainteresowane w istnieniu silnej policji.

W roku 1987, a więc jeszcze w Estońskiej Socjalistycznej Republice Radzieckiej, odnotowano 70 umyślnych zabójstw i prób ich dokonania. W 1993 było ich już 328, co oznacza wzrost blisko pięciokrotny. Takiej sytuacji nie było nigdy w przedwojennej Estonii, ani za „spokojnych" czasów ZSRR (dla przykładu w 1972 roku w ESRR zarejestrowano zaledwie 34 zabójstwa i ich usiłowania). W stosunku do liczby ludności pod względem liczby zabójstw mała Estonia wysunęła się więc na 1 miejsce w Europie.

Wzrost dotyczy też innych ciężkich przestępstw. Liczba zgwałceń w 1993 r. była wyższa o 44 proc. w porównaniu z poprzednim rokiem. W 241 przestępstwach posłużono się w tymże roku bronią palną. Przy jej użyciu dokonano m.in. 49 zabójstw, 70 napadów rabunkowych, 42 wybryków chuligańskich.

Ciekawostką jest zmniejszenie się liczby kradzieży. W roku 1993 było ich mniej o blisko 18 proc. w stosunku do roku poprzedniego. Ando Leps tłumaczy to pogorszeniem się ogólnej sytuacji materialnej. Jego zdaniem, blisko 50 proc. rodzin znalazło się w sytuacji porównywalnej z biednymi krajami Azji i Afryki. Spośród 10 estońskich rodzin zaledwie jednej żyje się dzisiaj lepiej niż w czasach ZSRR.

Drugą przyczyną jest zapewne fakt, że drobniejszych kradzieży ludzie w ogóle nie zgłaszają policji w przekonaniu, że i tak nie zostaną wykryte. Działa tu również strach przed zemstą przestępców.

Zastanawiający jest związek spadku statystycznych kradzieży i zorganizowanej przestępczości. W powiecie Ida-Wiruskim oraz Narwie liczba kradzieży zmniejszyła się w ciągu roku o 43 proc., natomiast liczba zabójstw (48) wzrosła o prawie 54 proc. Zdaniem dr. Lepsa, świadczy to wyraźnie, że północno-wschodnim regionem Estonii rządzi mafia.

Jak na tym tle wygląda estońska policja? Spośród 5500 zatrudnionych w republice funkcjonariuszy aż 45,5 proc. nie odpowiada kryteriom zatrudnienia (ponad 20 proc. nie zna języka estońskiego — są to głównie Rosjanie, a pozostali nie ukończyli przeszkolenia zawodowego).

A jednak w roku 1993 ogólny wskaźnik przestępstw w Estonii był mniejszy o blisko 10 proc. w porównaniu z rokiem 1992. Zwiększyła się też ich wykrywalność (ogółem) wynosząc w roku 1993 — 24,6 proc. (dla porównania w słabym dla wykrywalności roku 1988 wynosiła ona jednak 55 proc., aby w roku 1992 spaść do zaledwie 18,2 proc.). Nadal bardzo wysoki jest jednak wskaźnik przestępstw w stosunku do 100 tys. mieszkańców. W roku 1993 wyniósł on 2468, znacznie przewyższając wskaźniki dla sąsiedniej Łotwy (2027) i Litwy (1609).

Najbardziej zagrożonymi przestępczością są Tallin, powiat Ida- Wiruski i Narwa, najbezpieczniejszymi — wyspy zachodnich wybrzeży kraju.

Ando Leps uważa, że 20—25 procent wszystkich przestępstw w Estonii dokonywanych jest przez grupy zorganizowanej przestępczości. W ich rękach znajduje się znaczna część tzw. „szarej" strefy gospodarczej, dającej 15 proc. produktu narodowego. Macki mafii sięgają systemu bankowego, organów administracji państwowej i policji. Powstają gangsterskie firmy, banki, związki, a w przyszłości być może grupy nacisku w parlamencie i partie polityczne.

W strukturze społecznej w dużym stopniu wpłynęło to na proces rozwarstwienia. Szacuje się, że mała republika ma 300 „amerykańskich" milionerów, a jednocześnie 70 proc. społeczeństwa to ludzie biedni. Nie odczuwają też na co dzień troski państwa o zapewnienie lepszego bytu ani też bezpieczeństwa osobistego. Zdaniem Ando Lepsa, w społeczeństwie postsocjalistycznym przestają działać kontrolne funkcje państwa. Więcej — pojawiają się poglądy (nieobce również w Polsce — MT), że kontrola państwowa nie sprzyja powstawaniu wolnego rynku i własności prywatnej. Dochodzi do tego, że państwo traci orientację w tym, co z majątku należy do niego, a co przeszło już w inne ręce. Sprzyja to w znacznym stopniu rozwojowi przestępczości gospodarczej. W społeczeństwie takim przestaje również funkcjonować profilaktyka przestępczości, a ona sama staje się społecznym problemem numer jeden.

Czy jest wyjście z zaistniałej już sytuacji? Doktor Leps uważa, że jest, lecz będzie to proces bardzo trudny. Rzecz w tym, że państwo musi uświadomić sobie, iż utrata kontroli nad przestępczością to cios w struktury władzy. Jej organy ustawodawcze i wykonawcze powinny w szybkim tempie przyjąć i wcielać w życie wielopłaszczyznowy program ograniczania przestępczości. Trzeba to robić szybko i zdecydowanie, gdyż w przeciwnym wypadku struktury państwa mogą się stać własnością zorganizowanej przestępczości ukrytej pod sympatyczną maską tzw. „białych kołnierzyków".

MARCEL TABOR

„KOLEDZY SHERLOCKA HOLMESA"

PAN MECENAS GROMADZI DOWODY

Ogromną, wytrzymującą porównanie tylko z fenomenami Holmesa i Poirota, popularność zdobył amerykański adwokat Perry Mason. Chociaż jego profesjonalnym polem walki (z racji wykonywanego zawodu) była sala sądowa, to potrafił on również znakomicie tropić sprawców zbrodni, a następnie zgromadzone poszlaki i dowody efektownie przedstawić w czasie rozprawy Wysokiemu Sądowi, doprowadzając do uniewinnienia niesłusznie oskarżonego klienta.

Mason to człowiek obrotny, sprytny i pomysłowy. Jego żywiołem jest działanie. Chociaż często używa podstępu i posługuje się rozmaitego typu fortelami, zawsze działa w granicach prawa (choć aż nadto często na jego pograniczu). Jest bogaty, od swoich klientów pobiera sowite honoraria, ale gdy uzna sprawę za szczególnie interesującą, a klienta (częściej klientkę) za niewinnego i pokrzywdzonego, potrafi zadowolić się niskim wynagrodzeniem albo pracuje bezinteresownie. Jest przebiegły i błyskotliwy. Na sali sądowej doprowadza do białej gorączki swojego stałego przeciwnika, prokuratora okręgowego Hamiltona Burgera, którego misternie skonstruowany system oskarżenia zawala się pod naciskiem nieodpartych wywodów i argumentacji obrońcy. Chociaż czytelnik od początku rozprawy wie, że i tym razem Hamilton Burger przegra w pojedynku z Masonem, a ten ostatni zatriumfuje jak zwykle, to i tak walka ta zaprząta jego uwagę i koncentruje ciekawość wokół pytania: W jaki sposób Mason sobie poradzi? Pytanie to jest tym bardziej zasadne, iż nie raz, nie dwa sprytny mecenas zdaje się być w sytuacji bez wyjścia...

Perry Mason korzysta z pomocy dwojga bliskich współpracowników. Pomaga mu Della Street, jego zaufana sekretarka i wytrawna znawczyni kobiecych psychik. Dzięki niej Mason może przewidzieć wiele zachowań swoich klientek. Drugim pomocnikiem adwokata jest Paul Drake, zawodowy tropiciel i as śledczy, szef agencji detektywistycznej — instytucji oddającej Masonowi nieocenione usługi. Owo trio detektywistyczne jest tak przebojowe i skuteczne w działaniu, że wzbudza szacunek samego porucznika Tragga z wydziału zabójstw, policjanta odnoszącego się do sławnego prawnika z pewną, nie pozbawioną respektu, rezerwą, ale i nie unikającego współpracy z nim.

Perry Masona powołał do życia amerykański pisarz Erle Stanley Gardner (1889—1970). Zanim został autorem książek kryminalnych był przez siedem lat komiwojażerem. W 1912 roku poślubił Natalię Talbert. To burzliwe małżeństwo zakończyło się separacją w roku 1935. Natalia nie chciała dać mu rozwodu i Gardner przez niezwykle długi okres oczekiwał cierpliwie, aż los da mu sposobność pośłu-

„CZTERY I PÓŁ MINUTY"

Stan bezpieczeństwa na naszych drogach jest katastrofalny. Policyjne statystyki każdego dnia odnotowują około 150 poważnych wypadków komunikacyjnych. W wypadkach tych każdej doby ginie średnio 14—15 osób, około 200 trafia do szpitali. Niektórzy pozostają kalekami do końca życia. Dla zobrazowania skali problemu warto sobie uzmysłowić, że każdego miesiąca na naszych drogach ginie załoga zakładu średniej wielkości, co roku ludność 7-tysięcznego miasta, a liczba rannych zapełniłaby wszystkie wojewódzkie szpitale.

Szacunkowe straty z powodu przedwczesnych zgonów, inwalidztwa i absencji chorobowej osób uczestniczących w wypadkach drogowych, liczone w wielkości nie wytworzonego dochodu narodowego, odpowiadają wydatkom budżetu na opiekę zdrowotną i pomoc społeczną. Do tych strat należy również doliczyć koszty lecze-

bienia nowej wybranki serca Agnes Jean Behell. Nastąpiło to dopiero w 1968 roku, wkrótce po śmierci pierwszej pani Gardner. Stając po raz drugi na ślubnym kobiercu pisarz miał już 79 lat. Zmarł w niespełna dwa lata później 11 marca 1970 r. Pracą literacką zajmował się od roku 1921. W ciągu kolejnych dwunastu lat opublikował kilkaset opowiadań w rozmaitych czasopismach posługując się różnymi pseudonimami. Pierwszą powieść z Perry Masonem opublikował w roku 1933, ostatnia została wydana w trzy lata po jego śmierci. W sumie mecenas-detektyw pojawił się w 82 książkach.

Gardner starannie przygotował swojego bohatera do sukcesu. Pragnął, aby Perry Mason bliski był wyobrażeniom przeciętnego Amerykanina o zdolnym, przedsiębiorczym i uczciwym człowieku sukcesu, będącym zarazem tropicielem zła. Mason nie ma nic wspólnego z chińskim, sypiącym na każdym kroku aforyzmami niczym z rękawa, detektywem w typie Charlie Chana czy z nieruchliwym grubasem à la Nero Wolfe. Jest szybki, bezpośredni, energiczny, a co najważniejsze — pragmatyczny. Wizerunku typowego Amerykanina dopełnia jego męskość, pracowitość i słabostki takie jak: tytoń, alkohol, kobiety. Książki Gardnera o Masonie odniosły sukces na skalę światową. Przygody sławnego adwokata zostały ponadto spopularyzowane przez liczne audycje radiowe, filmy, seriale telewizyjne i komiksy. O jego popularności może zaświadczyć chociażby następujący fakt: W 1972 roku dla uczczenia piętnastej rocznicy Interpolu, Nikaragua wypuściła do emisji znaczek pocztowy z wizerunkiem Perry Masona.

W Polsce bohater E.S. Gardnera znany jest dość dobrze. Ukazało się u nas wiele powieści o przygodach i sprawach tego detektywa w adwokackiej todze m.in. „Aksamitne pazurki", „Blondynka z podbitym okiem", „Zalotna rozwódka", „Potrzebna atrakcyjna brunetka", „Zamknięty krąg", „Adorator panny West", „Siostrzenica lunatyka", „Sprawa przebiegłej laluni". Burzliwe życie osobiste pisarza znalazło odbicie w jego twórczości. We wszystkich jego książkach kluczowymi postaciami są kobiety, często przebiegłe intrygantki lub dla odmiany mało rozgarnięte „ofiary losu". Motyw kobiety obsesyjnie przewija się już w tytułach jego powieści.

PIOTR KITRASIEWICZ

---

nia, zasiłków chorobowych, rodzinnych i koszty pogrzebu.

Wśród różnych przyczyn tak dużej „ofiarochłonności" wypadków drogowych w Polsce jedną z istotniejszych jest zbyt późna pomoc medyczna udzielana ich ofiarom. Jak wynika z badań, w miastach karetka pogotowia, straż pożarna lub policja zjawiają się na miejscu wypadku w ciągu 10—15 minut od momentu zawiadomienia. Poza terenem zabudowanym czas ten jest kilkakrotnie dłuższy.

Często jednak nawet kilkuminutowa zwłoka i bierne oczekiwanie na przybycie lekarza powoduje śmierć poszkodowanego lub nieodwracalne skutki w jego mózgu. Jak twierdzą lekarze, najważniejsze po wypadku są pierwsze cztery i pół minuty. Jeśli w tym czasie ofiara otrzyma pomoc, ma duże szanse przeżycia. Po upływie tego czasu niektóre komórki mózgu przestają pracować i na ratunek jest już za późno.

Nie można więc bezczynnie czekać na przybycie lekarza, lecz starać się pomóc poszkodowanemu. Jak to zrobić, możemy zobaczyć na filmie „Cztery i pół minuty", zrealizowanym na kasecie wideo przez wytwórnię Agrafic Vision Mirosława Orlińskiego, przy współpracy Biura Ruchu Drogowego KGP.

Film ten może stanowić cenną pomoc dydaktyczną dla wszystkich, którzy nie chcą pozostawać obojętni wobec tragedii na drodze. Ukazuje w przystępnej formie elementarne zasady udzielania pierwszej pomocy. Krótkie scenki ćwiczeń praktycznych demonstrowane na taśmie stanowią doskonałe źródło informacji dla chcących nieść pomoc, a nie mających do tego właściwego przygotowania. Z filmu dowiemy się np., jak z rozbitego samochodu wydobyć ofiary wypadku, przenieść je w bezpieczne miejsce, zatamować krew, zastosować sztuczne oddychanie, ułożyć nieprzytomnego i rannego człowieka tak, aby bezpiecznie mógł oczekiwać na przybycie karetki pogotowia. Są to elementarne zasady pierwszej pomocy, które powinien znać każdy uczestnik ruchu drogowego, tak zmotoryzowany, jak i piesz y.

Pamiętajmy — wypadek nie wybiera sobie miejsca, może wydarzyć się zawsze i wszędzie. Warto więc być przygotowanym na zminimalizowanie jego skutków. W tym celu, obok znajomości zasad ratownictwa, bardzo przydatna jest w samochodzie apteczka, wyposażona w podstawowe medykamenty: gazę, bandaże, plastry, płyny dezynfekujące. Wprawdzie nasz kodeks drogowy nie wymaga od kierowców posiadania apteczki w samochodzie (chociaż, moim zdaniem, byłaby bardziej przydatna niż gaśnica), to jednak namawiam do jej zakupu. Namawiam również do kupna kasety z filmem Mirosława Orlińskiego „Cztery i pół minuty". Myślę, że powinny się nią zainteresować również szkoły podstawowe, przygotowujące się do wprowadzenia do programu nauczania zagadnień wychowania komunikacyjnego.

J. PACIORKOWSKI

Mirosław Orliński: ***Cztery i pół minuty.*** Agrafic Vision 1994. Dystrybucja: Dayglob, Warszawa, ul. Solec 58/60, tel. 26-74-99.

NA ŻYWO

WSZYSTKIE ODCIENIE SZAROŚCI

Coś jakby drgnęło w systemie przezornego uspokajania społeczeństwa, że jeśli nawet nie jest dobrze z bezpieczeństwem publicznym, to nie aż tak źle, jak to hałaśliwie rozgłaszają media, z właściwą sobie przesadą.

Owe media mogą już na podstawie informacji z pierwszej ręki, zasięgniętych u źródła, od samego ministra spraw wewnętrznych i komendanta głównego Policji, głosić z całym spokojem (a raczej z niepokojem), że jeśli idzie o rozmiary i różnorodność przestępstw popełnianych w Polsce, jest to spektrum tak porażające i przerażające, że śmiało możemy aspirować do ścisłej czołówki światowej pod tym względem.

Normą, niemal stałym zjawiskiem wpisanym w pejzaż większych miast i miejscowości podmiejskich (tych eleganckich, willowych zwłaszcza), stały się wybuchy ładunków podkładanych w formie bomb lub samochodów-pułapek. Przy czym 80 proc. tych ładunków odpalano drogą radiową, co uważa się za niejaki ewenement, bo elektryczne zapalniki stosowane są w świecie bardzo rzadko. Przy tym grupy przestępcze wyspecjalizowane w podkładaniu ładunków pracują na zasadzie „łamigłówki miast" (Warszawa wysługuje się ludźmi z Wybrzeża i vice versa), zlecenia są przyjmowane systemem „łańcuszkowym", co niezwykle utrudnia ustalanie sprawców, na co też wpływa niemal regularna odmowa współpracy poszkodowanych i świadków. Nie ma się czym tu specjalnie chwalić, jeśli chodzi o skuteczność działań organów ścigania nie wystarczająco przygotowanych do zwalczania nowych na naszym gruncie przejawów przestępczości o charakterze terrorystycznym. Od roku 1993 namierzono tylko 37 bombiarzy.

Można już — obok regularnej wojny gangów — odnotować niejakie symptomy terroryzmu politycznego. Nie ma też co ukrywać widomych przejawów korupcji. Wprawdzie „ciemną liczbą" określa resort spraw wewnętrznych wielu urzędników, i to różnego szczebla, powiązanych ze światem przestępczym, ale sądząc z „cudownego" rozmywania się najprzeróżniejszych afer, można się w tym doczytać prób wymuszania na politykach zaniechania represji wobec przestępców.

Niby już policji udaje się rozpracowywać niektóre gangi, ale en bloc — zjawiska mafijności i terroryzmu nie są jeszcze dostatecznie rozpoznane przez resort.

Na tym obszarze w sukurs przychodzi Policji nowo powołany wydział w Zarządzie Kontrwywiadu UOP.

Nareszcie przestało się zaprzeczać istnieniu w Polsce wysoko zorganizowanej i wysoce wyspecjalizowanej przestępczości, z którym to ropiejącym wrzodem na ciele państwa nie poradzi sobie niedoszkolona, ukierunkowana na zwalczanie zwykłego bandytyzmu, policja, której wyposażenie budzi tylko żałość i smutek.

Obroty szarej strefy w Polsce wynoszą od 210 do 380 bln starych złotych. Ale włos się jeży dopiero, gdy się dowiadujemy, że z biliona dolarów pochodzących z przestępstw rocznie na całym świecie, w Polsce legalizuje się ok. 2—3 mld (prywatne banki, kasyna gry, proces prywatyzacji).

Skoro Polska uważana jest w międzynarodowych kołach przestępczych za kraj o wyjątkowo słabym, „dziurawym" systemie prawa i niedoinwestowanej policji, która nie jest przez to w stanie reagować błyskawicznie na penetrację państwa przez obce elementy przestępcze, to jest rzeczą zrozumiałą, że nasz kraj uplasował się w III grupie jako „pralnia" brudnych pieniędzy (przodują USA, Anglia, Szwajcaria, na drugim miejscu Rosja, Turcja, Hiszpania).

Dla dopełnienia całości obrazu przestępczości w Polsce dnia dzisiejszego dodajmy: kanały przemytu narkotyków i ich wytwarzanie, nielegalny handel bronią, materiałami wybuchowymi i promieniotwórczymi, międzynarodowe powiązania i źródła finansowania przestępczości zorganizowanej, wreszcie wszelkiej maści fałszerstwa pieniędzy i dokumentów. W tej ostatniej „dyscyplinie" kryminalnej, specjaliści rodzimego chowu od wszelkiego rodzaju fałszywek, podróbek, imitacji, replik i reprintów, wręcz idealnie wykonanych i niemal nie różniących się od oryginałów, mogą śmiało iść w zawody z największymi fachowcami z Zachodu i Wschodu.

Wydawałoby się, że w tym stanie rzeczy rząd i parlament powinny całą swą uwagę skupić na wzmocnieniu prawa i na maksymalnym doinwestowaniu policji.

Ale o czym tu mówić, jeśli niewiele z dotychczas ujawnionych poważnych afer znalazło epilog w sądzie, a o legalizowaniu pieniędzy z ciemnych dochodów wie się jedynie ze źródeł operacyjnych, lecz nie prowadzi się w tym kierunku żadnego postępowania prokuratorskiego i sądowego?

LECH TERPIŁOWSKI

NA GRANICY

NIEZWYKŁE TRANSPORTY

Sprawa spółki „C..." zajmującej się między innymi prowadzeniem składu celnego, zakończyła się aresztowaniem właściciela i cofnięciem mu koncesji na dalszą działalność. Zarzuty przedstawiono także 12 celnikom...

Spółka „C..." powstała w grudniu 1989 roku. Jej prezesem i jedynym właścicielem był Krzysztof P. Zakładając spółkę deklarował usługi w zakresie poligraficznym i wydawniczym oraz eksport i import sprzętu elektronicznego. Po roku działalności, rozejrzawszy się na rynku, pan P. doszedł jednak do wniosku, że najlepszy biznes to import towarów z zagranicy. Zyski mogłyby być jeszcze większe, gdyby dla obniżenia kosztów można było skorzystać z własnego składu celnego. I taki właśnie skład Krzysztof P. postanowił otworzyć. Otrzymał zezwolenie najpierw na jeden, a potem na następny i rozpoczął prowadzenie działalności. Bardzo szybko zorientował się, że może osiągać krociowe zyski, jeśli będzie prowadził nieco inną działalność niż ta, którą zadeklarował oficjalnie.

Krzysztof P. rozpoczął import towarów oficjalnie z zamiarem tzw. reeksportu, czyli dalszego wywozu za granicę. Konkretnie na Ukrainę, Białoruś i do Rosji. Sprowadzony z zagranicy towar przechowywał we własnych składach celnych do czasu deklarowanego wywozu. Tymczasem tak naprawdę towary deklarowane jako reeksportowe wychodziły za granicę tylko na piśmie, faktycznie bowiem nigdy nie opuszczały Polski. Z powodu nie płaconego cła zyski z ich sprzedaży w kraju były bardzo duże.

Problem polegał na tym, żeby mieć potwierdzenie wywozu. Pan P. uzyskiwał je dwojako: po pierwsze dzięki sfałszowanej pieczęci oddziału celnego w Kukurykach, po drugie dzięki „swoim" celnikom. Dostawali oni do podpisania dokumenty, z których wynikało, że towar jest wywożony za granicę i przystawiali na nich swoje pieczęcie, potwierdzając dokonanie wywozu, który oczywiście de facto nie miał miejsca.

Biznes kręcił się ponad rok, dopóki spółką nie zainteresowali się kontrolerzy celni w Terespolu, a potem prokurator.

Wszystko zaczęło się od tego, że pewnego dnia w Urzędzie Celnym w Kuźnicy pojawił się były funkcjonariusz celny Robert K. Wypytywał o kolegów celników i o dokumenty wywozowe firmy „C...", która dokonywała reeksportu odzieży dżinsowej na Ukrainę. Nie byłoby w tym zapewne nic szczególnie podejrzanego, gdyby nie drobny fakt: otóż Robert K. kilka miesięcy wcześniej został zwolniony dyscyplinarnie z pracy za łapówki, które przyjmował w zamian za poświadczanie nieprawdy w dokumentach. Przełożeni mieli więc na niego „oko" i zaczęli podejrzewać, że były pracownik kręci się tu, aby coś „załatwić", a firma, której sprawy reprezentuje, łamie w jakiś sposób prawo. Zwłaszcza że firmą tą był skład celny, a więc jednostka zwolniona z opłat celnych na specjalnych warunkach...

Kontrolerzy celni urzędu w Terespolu postanowili dokładnie zbadać dokumenty dotyczące wywozu towarów przechowywanych w owym składzie. Szybko stwierdzili, że w dokumentach spółki odnotowano, iż towar został wywieziony, natomiast brakuje potwierdzenia tego faktu w dokumentacji urzędu celnego odprawiającego towar. Zachodziło więc podejrzenie, że pieczęcie w dokumentach SAD zostały sfałszowane...

Powiadomiono prokuraturę, która wszczęła śledztwo. Przeszukanie w siedzibie spółki udowodniło brak kartoteki magazynowej i totalny bałagan dokumentacyjny. Wykazało także, iż warszawski urząd celny, mimo że zgodnie z prawem celnym dokumentacja i magazyny składu celnego winny być kontrolowane co 3 miesiące, nie interesował się składami spółki „C..." od ponad roku. Dzięki temu Krzysztof P. mógł kontynuować przestępczą działalność i narazić Skarb Państwa na wysokie straty.

Trwające kilka miesięcy śledztwo wykazało systematyczne fałszowanie dokumentów SAD. I to nie tylko przez przystawianie sfałszowanej pieczątki. Fałszerstwo dotyczyło ponad 100 przypadków rzekomego wywo-

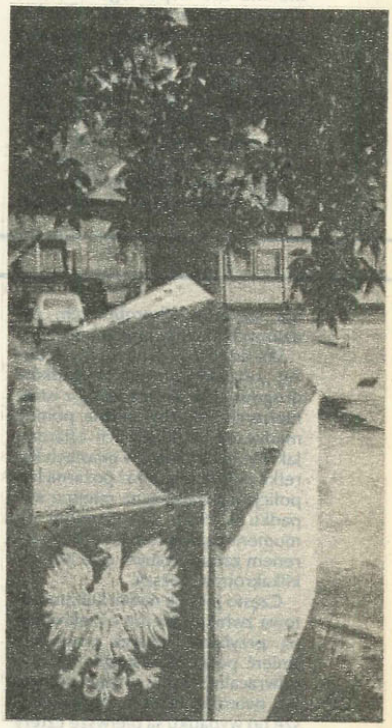

NA GRANICY

JAJECZNICA Z PRZEMYTU

Pomysłowość ludzi robiących wielkie pieniądze na nielegalnych interesach jest nieograniczona. Okazuje się, że wykorzystać można wszystko. Nawet międzynarodową konwencję.

Jedna z nich dotyczy firm transportowych, które należąc do Międzynarodowego Zrzeszenia Przewoźników Drogowych mogą dla swoich tirów wykupywać specjalne karnety. Dzięki nim nie trzeba na granicy płacić wadium za wwożony towar, który ma zostać ocalony w głębi kraju. Przepisy mówią jednak wyraźnie, że jeśli obowiązujące cło nie zostanie uiszczone, przewoźnik płaci 50 tysięcy dolarów kary. Pomysł przemytników polegał więc na opracowaniu sposobu, żeby nie zapłacić cła i uniknąć kary.

Pomysłodawcą i organizatorem przedsięwzięcia był pewien biznesmen z Katowic. Choć pracował w branży rozrywkowej, odkrył, że można zrobić prawdziwy majątek umiejętnie wykorzystując fakt różnicy cen towarów spożywczych po obu stronach polsko-czeskiej granicy.

Wkrótce też zaczęła funkcjonować zorganizowana przez niego grupa. Ludzie pana L. jeździli do Czech, by tam kupować towar. Początkowo były to tylko jajka, na których w Polsce uzyskiwano 1000 złotych przebicia na jednej sztuce. Z czasem doszły także inne artykuły spożywcze, głównie: kawa, herbata, kakao, czekolady, vegeta, towary znacznie tańsze w Czechach niż w Polsce, ponieważ tam dotowane. Kupowano je hurtowo i płacono gotówką. Później, kiedy interes się rozkręcił, a strony nabrały do siebie zaufania, zamówienia składano telefonicznie, a rozliczano się za pośrednictwem kierowców.

Towar przywożony był do Polski tirami wynajętymi w czeskich, słowackich lub austriackich firmach transportowych. Kierowcy nie byli wtajemniczeni w szczegóły operacji. Mieli tylko przewieźć towar przez granicę w Cieszynie, korzystając ze wspomnianego karnetu tirowskiego, zwanego osłonowym. Dzięki niemu nie musieli płacić cła na granicy. Miał to uczynić właściciel towaru w dowolnym urzędzie celnym już po odebraniu towaru w głębi kraju.

Ledwie tir z towarem przekroczył granicę w Cieszynie, kilka kilometrów dalej czekał na niego któryś z ludzi pana L., który pilotował samochód w określone miejsce. Była to zazwyczaj położona na uboczu hurtownia, gdzie zrywano plomby celne i wyładowywano towar. Jeśli towarem tym były jajka, trafiały one nie do hurtowni, lecz prosto na bazar, gdzie sprzedawano je bezpośrednio z samochodu. Oczywiście — wmawiając kupującym, że to świeżutkie wiejskie jajeczka, prosto z kurnika.

Podczas gdy kierowca tira odpoczywał przed drogą powrotną, ludzie pana L. rozładowywali samochód, załatwiali też

zu towarów przez spółkę „C...". W około 80 przypadkach pieczęcie w dokumentach były autentyczne, a fałszerstwo polegało na czym innym.

Nie można byłoby go dokonać, gdyby nie stała współpraca firmy z „zaprzyjaźnionymi" celnikami. Ich rola polegała tylko na tym, żeby nie byli zbyt wścibscy. Tę „fuchę" celnicy wykonywali jednak wyjątkowo niedbale. Nie chciało im się nawet sprawdzić, na ile logicznie i prawdopodobnie wypełnione są przedstawione im do podpisu dokumenty SAD.

W wyniku ich lenistwa, w formularzach SAD roiło się od przeróżnych cudów. Na przykład: według wpisu w dokumentach 53 tysiące par spodni ważących ponad 18 ton rzekomo przewożonych było na Ukrainę samochodem marki... Syrena. Tak wynikało z numeru rejestracyjnego auta podanego w dokumencie SAD.

Z innych numerów środków transportu widniejących w formularzu wynikało z kolei, że „przewóz" odzieży odbywał się wywrotką przeznaczoną do wożenia piachu, ciągnikiem rolniczym, motocyklem itp. Pewność siebie przemytników i lenistwo celników były tak wielkie, że nie zadawali sobie nawet trudu, aby sprawdzić, jakich aut dotyczą wpisywane numery rejestracyjne. Doszło nawet do tego, że z dokumentów wynikało, iż towar wywożony był przyczepą, która... ciągnęła malucha, taka bowiem była kolejność podanych numerów środków transportu.

Ciekawostek w dokumentach wywozowych było więcej. Dotyczyły one także danych personalnych rzekomych kierowców. Ich imiona i nazwiska Krzysztof P. i jego pracownicy brali na chybił trafił z książki telefonicznej, a numery paszportów wpisywali „z sufitu". W efekcie, kiedy w trakcie śledztwa zaczęto sprawdzać, do kogo należą paszporty wymienione w dokumencie, wyszło na jaw, że kierowcą tira rzekomo wiozącego na Ukrainę dżinsowe kurtki jest... 10-letnia dziewczynka, a kierowcą ciągnika, którym przewożono spodnie 14-letni chłopiec...

Dokumenty SAD wymagają także podania odbiorcy eksportowanego towaru. Tu również pomysłowość pracowników spółki była nieograniczona. Wymyślali przeróżne nazwy nie istniejących firm, albo znane im nazwy firm ze Lwowa czy Kijowa, które faktycznie trudniły się czymś zupełnie innym. W czasie śledztwa wychodziły więc na jaw kolejne niespodzianki, jak choćby te, że odbiorcą odzieży dżinsowej był sklepik warzywny albo adres rzekomej firmy handlowej okazywał się adresem szpitala.

Celnicy, którzy dopuścili się tak karygodnych zaniedbań nie byli oczywiście przypadkowi. W dokumentach SAD pochodzących z ponad rocznej działalności spółki powtarzają się podpisy wciąż tych samych 12 celników. Wszyscy oni zostali objęci aktem oskarżenia, podobnie jak właściciel „C..." Krzysztof P. i jego sześciu pracowników.

Ogólna wartość towarów, w odniesieniu do których sfałszowano potwierdzenie wywozu za granicę, wynosiła ponad 80 miliardów starych złotych, a cło i graniczny podatek obrotowy, którego w wyniku oszustwa nie zapłacono, prawie 50 miliardów zł.

ELŻBIETA SITEK

niezbędną dokumentację. Wyjeżdżając z Polski kierowca samochodu, który przywiózł towar, musiał przedstawić na granicy dokumenty świadczące, że wszystkie należności celne i podatkowe zostały uregulowane.

Do załatwienia takich dokumentów niezbędny był oczywiście celnik. Pan L. miał takiego „swojego człowieka" na granicy. Za określoną opłatą celnik wypełniał dokumenty wpisując w nie informacje świadczące, że towar został oclony, po czym poświadczał to... sfałszowaną pieczęcią jednego z kilku urzędów celnych. Zmieniał je, żeby zbyt często powtarzająca się pieczęć jednego urzędu nie rzuciła się w oczy. Jako rzekomych odbiorców towarów w dokumenty celne wpisywano różne firmy, których nazwy brano z książki telefonicznej.

Dzięki niepłaceniu cła zyski pana L. i jego grupy były ogromne. Najwięcej zarabiano na jajkach, Można by rzec, iż dla pana L. czeskie kury znosiły złote jajka, gdyż na jednym „jajecznym" tirze zarabiał pół miliarda złotych. Podobnie wyglądało to w przypadku tirów z herbatą, kawą czy vegetą, które przynosiły 300—500 milionów starych złotych zysku.

Interes kręcił się coraz lepiej. przemytnicy nie wiedzieli jednak, że od pewnego czasu służby celne i policja zaczęły im deptać po piętach. Najpierw zauważono, że towary, które winny być oclone w głębi kraju nagle „rozpływają się" gdzieś i nie docierają do wskazanego urzędu celnego, potem, że dotyczy to towarów przywożonych tirami, które mają wspomniane karnety, tzw. osłonowe. Zaczęto sprawdzać wszystkie tiry korzystające z tego dokumentu. Trop okazał się właściwy. W dalszym rozpracowywaniu grupy i jej metod działania policjanci z Komendy Wojewódzkiej w Bielsku-Białej korzystali z pomocy czeskiej i słowackiej policji.

Działając około półtora roku Stanisław L. wraz ze swoimi ludźmi przemycił do Polski 48 tirów, w których znajdowało się około 100 ton artykułów spożywczych. Wartość nie zapłaconego cła wynosi 24 miliardy starych złotych, a nie zapłaconego podatku — 15 miliardów.

Śledztwo trwa. Na razie jest w nim podejrzanych 9 osób, z których trzy zostały aresztowane.

ELŻBIETA SITEK

ZŁODZIEJ DONOSI NA POLICJĘ

Śląska prasa na pierwszych stronach przynosi doniesienia o korupcji w olkuskiej policji. Grzegorz G., podejrzany przez prokuraturę o kradzież 20 aut, oskarżył policjantów prowadzących śledztwo o współdziałanie z nim na rzecz pabianicko-olkuskiego gangu samochodowego. G. tymczasowo aresztowany przed 5 miesiącami, opuścił areszt śledczy ze względu na stan zdrowia. Szajce, do której należał G., policja i prokuratura zarzuca popełnienie kradzieży ponad 100 pojazdów. Kilku złodziei stanęło już przed sądem.

Mimo że śledztwo w tzw. sprawie olkuskiej przebiegało pod nadzorem komendanta wojewódzkiego Policji, Grzegorz G. twierdzi publicznie, iż „to, co zrobiła specjalna grupa policjantów składająca się z funkcjonariuszy KRP w Olkuszu i KWP w Katowicach, to pic na wodę, fotomontaż".

G. zdradza, że klientami gangu były osoby ze śląskiego establishmentu: urzędnicy, dyrektorzy, adwokaci, lekarze. W zawieraniu kontraktów uczestniczyli niektórzy policjanci. Mariusz G. z komendy w B. przyprowadził jako klienta znanego lekarza z Zagłębia, Arkadiusza O. W razie odnalezienia auta przez grupę specjalną, były one z nakazu prokuratora oddawane tym, którzy kupili je od złodziei. Tak, jako „osoba godna zaufania", otrzymał zakwestionowanego volkswagena passata Józef P. Byłemu burmistrzowi z województwa piotrkowskiego przekazano „na nieodpłatne" przechowywanie mazdę, Adamowi S. z Tarnowskiego renaulta 19, a Januszowi W. spod Warszawy — volkswagena golfa.

Według słów G. klientami szajki byli nawet pracownicy firm ubezpieczeniowych. Utrzymuje, że na „sypanie klientów i policjantów" otrzymał ciche przyzwolenie od kolegów. Liczy na ochronę ze strony uczciwych policjantów z zarządów związków zawodowych w KRP w Olkuszu i KWP w Katowicach, którzy są zainteresowani wyjaśnieniem afery. Obiecuje, że pokaże fotografię przedstawiającą „złodziei i policjantów razem" oraz kasetę potwierdzającą udział funkcjonariuszy KWP w przemycie samochodów do Niemiec. Kaseta zawiera ponoć informację o tym, że trzy skradzione mercedesy opuściły Polskę przez GPK w Słubicach.

G. podał dziennikarzom, że za potwierdzenie, iż samochód nie jest kradziony, wymagane do rejestracji, policjanci brali prowizję od 300 do 800 dolarów. „W każdej komendzie w Zagłębiu byli ludzie, którzy pomagali gangowi". Śmieje się, że mimo „blisko dziesięciu listów gończych" opiece protektorów zawdzięcza swobodę poruszania się i opuszczania izb zatrzymań. Z krakowskiego aresztu śledczego wypuszczono go po złożeniu obietnicy zapłacenia kaucji 50 milionów zł. Pieniędzy tych nigdy nie wpłacił.

Grzegorz G. deklaruje chęć współpracy z organami ścigania na polu demaskowania korupcji i „mafijnej opieki" w policji. W zamian żąda doprawdy niewiele: wydania mu „listu żelaznego" gwarantującego nietykalność oraz wypuszczenia z więzienia brata. Prokuratura Wojewódzka w Katowicach nie przystała na powyższe żądania. W Komendzie Wojewódzkiej Policji trwa postępowanie wyjaśniające. Niebawem szerzej napiszemy o sprawie.

ADAM. K. PODGÓRSKI

PIRAC
MEGAP

Giełdę komputerową odbywającą się w szkole podstawowej przy ulicy Grzybowskiej oraz na placu przed szkołą zna w Warszawie każdy posiadacz komputera. Sprzedawany tam osprzęt, a także programy w pełnym asortymencie od dawna cieszą się ogromnym powodzeniem. Przede wszystkim dlatego, że są kilkakrotnie tańsze niż kupowane w firmowych sklepach.

Jeszcze parę lat temu działalność giełdy nie stanowiła większego problemu. Komputerów w Polsce nie było zbyt wiele, oprogramowanie było drogie i trudno dostępne, więc ci, którzy kopiowali gry i niektóre programy użytkowe, byli bardziej zapaleńcami — amatorami niż przestępcami. Spotykali się na niewielkich giełdach, gdzie wymieniali się lub sprzedawali między sobą sprzęt i oprogramowanie. Wraz z rozwojem komputeryzacji część z nich zaczęła robić sobie z tego coraz bardziej intratny biznes.

Giełda przy Grzybowskiej już dawno zatraciła swój amatorski charakter i stała się siedzibą piractwa komputerowego uprawianego na taką skalę, że zagraża ono legalnym dystrybutorom. Prawo, zawsze nieco spóźnione w stosunku do życia, sprecyzowało ten problem w nowej, obowiązującej od 1994 roku ustawie o ochronie praw autorskich. Oprogramowanie komputerowe podlega ochronie prawnej, której nieprzestrzeganie grozi odpowiedzialnością karną. Artykuł 115 zabrania plagiatu programów komputerowych, artykuły 116, 117 i 118 rozpowszechniania kopii, nieuprawnionego ich zwielokrotniania, nabywania, pomagania w zbyciu lub w ukryciu nie licencjonowanego oprogramowania.

NIEWYGODNE PRAWO

Z chwilą wejścia nowego prawa policjanci ze stołecznego wydziału pg zorganizowali spotkanie, na które zaprosili przedstawicieli prokuratury, sądu dla nieletnich oraz organizatorów giełdy: dwie firmy, z których jedna dzierżawi pomieszczenia szkolne, a druga placyk przy szkole, a także przedstawicieli szkoły i kuratorium oświaty. Odmówiła przyjścia tylko dyrektorka szkoły zainteresowana bardziej zyskami, jakie płyną z dzierżawy niż faktem, że na terenie szkoły łamane jest prawo, podczas gdy znaczną część handlujących na giełdzie stanowi młodzież, często niepełnoletnia. Podczas spotkania przedstawiciele policji i prokuratury poinformowali o nowym prawie autorskim i sankcjach, jakie grożą za jego nieprzestrzeganie. Z organizatorami giełdy ustalono, że stworzą regulamin, wyraźnie informujący uczestników giełdy o obowiązku stosowania się do prawa autorskiego, a także podejmą wiele przedsięwzięć organizacyjno-porządkowych np. wprowadzając obowiązek, aby każdy sprzedający miał przypięty emblemat ze swoim nazwiskiem.

Od spotkania upłynęło kilka miesięcy, a sytuacja na giełdzie nie uległa żadnej zmianie. Policjanci z pg zorganizowali więc drugie spotkanie, tym razem na terenie kuratorium oświaty. Jeszcze raz wyjaśnili zainteresowanym istotę prawa autorskiego w zakresie ochrony programów komputerowych i zapowiedzieli, że wkrótce przystąpią do ścigania piratów, którzy nie będą mogli tłumaczyć się nieznajomością prawa.

POLICJA KONTRA PIRACI

Od początku br. roku policjanci z wydziałów ds. pg Komendy Stołecznej i Rejonowej na Woli z pomocą ekspertów z firmy „Lege Artist" kilkakrotnie zatrzymywali na giełdzie piratów komputerowych. Te zatrzymania nie były przypadkowe, poprzedzała je wcześniejsza obserwacja i ustalanie, kto zajmuje się kopiowaniem i sprzedawaniem programów bez posiadanej licencji.

Trudność poległa jednak na tym, że ponieważ policja nie ma na razie prawa do tzw. zakupu kontrolowanego, zatrzymanie musi nastąpić w momencie popełniania przestępstwa, czyli w tym wypadku kopiowania lub sprzedawania programu bez licencji. Jednym słowem — na gorącym uczynku. Świadkowie, czyli kupujący nie chcą zeznawać, ponieważ wtedy sami musieliby odpowiadać przed sądem za tzw. paserstwo.

Policjanci weszli więc na giełdę z dokładnie przygotowanym planem działania. Podzieleni na kilka grup wmieszali się w tłum i obserwowali sprzedających. W momencie, gdy tamci przystępowali do kopiowania, poszczególne grupy wkraczały do akcji, zatrzymując kopiującego i sprzęt, z którego korzystał. Wywołało to na giełdzie spory popłoch. Jeden z kopiujących, nawiasem mówiąc stary handlarz programów, krzyknął do pozostałych: „Zapamiętajcie, kto nas zatrzymuje!" Chodziło o to, żeby pozostali zapamiętali twarze policjantów, aby rozpoznać ich, gdy w przyszłości pojawią się na giełdzie.

W czasie ostatniej akcji, która miała miejsce pod koniec kwietnia, zatrzymano na giełdzie przy Grzybowskiej dwie dobrze zorganizowane grupy trudniące się piractwem komputerowym. W jednej z nich rej wodzili dwaj studenci elektroniki. Wraz z dwoma innymi każdej soboty i niedzieli rozstawiali na giełdzie swój stolik, na nim komputer i monitor i na życzenie klienta kopiowali każdy program, który posiadali. Oczywiście na żaden z tych progra-

ACKIE
ABAJTY

mów nie posiadali licencji. Kiedy zostali zatrzymani przez policję, mieli przy sobie dyskietki z programami, których wartość wynosiła prawie 3 miliardy złotych.

Druga zatrzymana grupa była większa, lepiej zorganizowana i zarabiająca większe pieniądze. Tu również kierowali wszystkim studenci elektroniki. Było także dwóch przyszłych prawników. Od ponad roku zajmowali się kopiowaniem i sprzedawaniem programów komputerowych, nie na dyskietkach jednakże, lecz na CD-Rach i CD-ROMach. Opłacało się to o wiele bardziej, bowiem jeden CD-ROM to odpowiednik około 400 dyskietek i mieści się na nim około 150 programów komputerowych.

Kiedy ich zatrzymano, w torbach i w samochodzie mieli 2280 pirackich dyskietek i 40 sztuk CD-ROMów, których oprogramowanie warte było prawie 20 miliardów starych złotych...

Te liczby świadczą o skali problemu. Można powiedzieć, że na takie właśnie sumy piraci okradli firmy komputerowe, których programy bezprawnie sprzedawali. A przecież tych kilka osób zatrzymanych w wyniku akcji warszawskiej policji na giełdzie komputerowej to zaledwie ułamek problemu.

Kilka dni później w ramach walki z piratami komputerowymi policja zatrzymała inżyniera z Nowego Dworu, który w swoim mieszkaniu miał kopiarkę komputerową. Od roku zajmował się nielegalnym kopiowaniem programów na Atari, Comodore, PC. W jego mieszkaniu znaleziono 600 dyskietek oraz 85 steamerów o pojemności 120 megabajtów każdy, z grami i programami użytkowymi światowych producentów takich jak: World Perfect, Novel, Symantec, Micro-Soft, IPS, Mirage, Digital i inne. Nielicencjonowane programy komputerowe pan inżynier miał także w firmie, w której pracował.

Jak ustalono, już od roku kopiarnia dostarczała mu stałych dochodów; dochodzenie w tej sprawie wszczął prokurator. Tak, jak i w poprzednich przypadkach, na poczet grzywny zatrzymano cały sprzęt komputerowy.

Wartość znalezionych u inżyniera Z. programów biegli z „Lege Artist", biorący udział we wszystkich akcjach przeciwko komputerowym piratom, ocenili na ponad 20 miliardów starych złotych.

KIEDY NA WOKANDZIE?

Na świecie poradzono sobie z tym już dawno, w Polsce walka z piratami dopiero się zaczyna. Nie będzie łatwa, ponieważ istnieniem pirackich programów zainteresowani są nie tylko sprzedający, ale także kupujący. Oryginalne programy komputerowe są dla wielu osób zbyt drogie. Gra, którą na giełdzie można kupić za 100 tysięcy, u licencjonowanego sprzedawcy kosztuje pięciokrotnie drożej, CD-ROM z programem Auto-cad do projektowania architektonicznego oryginalny kosztuje 7,5 tysiąca marek niemieckich, piracki na giełdzie — tylko 1,5 miliona starych złotych...

Za tę niższą cenę płaci się jednak ryzykiem, że ponieważ wiele plików, dzięki systemom zabezpieczeń nie daje się skopiować, gra lub program może się nie zainstalować, albo też w pewnym momencie grający nie będzie mógł posuwać się naparzód, ponieważ dalsze szczegóły gry są zawarte w instrukcji, której pirat nie posiada.

Trudność w ściganiu piratów polega także na tym, że odbywa się ono z oskarżenia prywatnego, a więc firmy, której interes został naruszony. I tu dochodzi czasem do paradoksów. Okazuje się bowiem, że niektóre firmy wcale nie są zainteresowane ściganiem przestępców komputerowych. Nielegalnie rozpowszechniając programy rozszerzają oni w jakiś sposób komputeryzację, więc tak czy inaczej przysparzają firmom klientów, z których wielu, gdyby miało kupować tylko drogie oryginalne programy, nie kupiłoby komputera w ogóle.

Przeciwko piratom prokurator wkracza z urzędu wtedy, gdy sprawca kieruje zorganizowaną działalnością w tym zakresie, albo gdy uczynił sobie z tego stałe źródło dochodu. Tak właśnie było we wszystkich przedstawionych tu przypadkach. Kiedy jednak sprawy te trafią na wokandę sądową trudno powiedzieć.

Obaj szefowie grupy zajmującej się sprzedażą CD-ROMów byli już zatrzymani przez policję rok temu. Na tej samej giełdzie i za to samo przestępstwo. Sprawa karna przeciwko nim trafiła już z aktem oskarżenia do sądu, jednak dotychczas nie weszła na wokandę. Podobnie jak pięć innych dotyczących piractwa komputerowego. Teraz doszły następne. Są nowością w naszym prawodawstwie i orzecznictwie i każda, która wejdzie na wokandę stanowić będzie sądowy precedens. Istotny o tyle, że ujawniane przypadki piractwa komputerowego stanowią zaledwie wierzchołek góry lodowej.

ELŻBIETA SITEK
zdj. T. Noszczyński

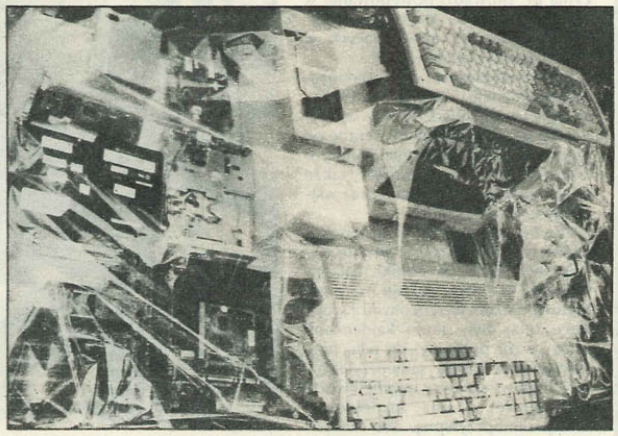

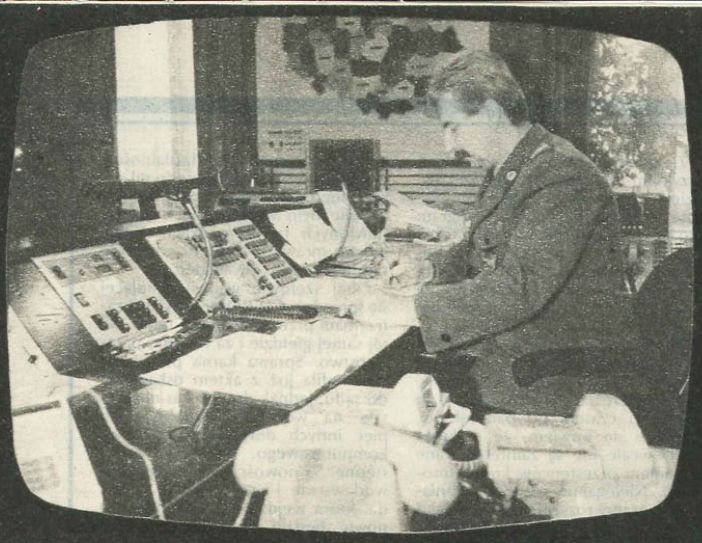

997

KRONIKA

Pod redakcją
HANNY ŚWIESZCZAKOWSKIEJ
i ZBIGNIEWA RAZMUKA

Podwójne morderstwo

KRP Warszawa-Żoliborz od stycznia br. prowadzi postępowanie w sprawie zabójstwa Alicji i Mieczysława Szymańskich, mieszkających w Alei Wojska Polskiego 50/54.

Ich zakneblowane i skute kajdankami zwłoki znaleźli 23 stycznia 1995 r., krewny oraz sąsiad, którzy zdecydowali się wyłamać nie otwierane od tygodnia drzwi mieszkania. Zaniepokojenie otoczenia budziło także zapalone wewnątrz światło oraz włączony telewizor.

Przybyła na miejsce ekipa dochodzeniowo-śledcza wraz z prokuratorem stwierdziła, że zwłoki małżonków leżą w małym pokoju i są przykryte ubraniami wyrzuconymi z szafy. Ręce ofiar były skute kajdankami (nowy wzór policyjny) do tyłu, nogi skrępowane taśmą samoprzylepną, na ich głowy sprawcy nasunęli worki ortalionowe, a usta zakneblowali taśmą samoprzylepną. We wszystkich pomieszczeniach mieszkania stwierdzono ślady intensywnego plądrowania.

Sekcja zwłok Mieczysława Szymańskiego wykazała złamanie nosa

oraz złamanie wielu żeber po obu stronach klatki piersiowej z rozerwaniem opłucnej. Obrażenia te mogły powstać wskutek uderzeń i stać się przyczyną śmierci. Nie wykluczono także zgonu wskutek uduszenia. Plamy na płucach Alicji Szymańskiej mogły powstać także w wyniku uduszenia.

Przypuszcza się, że śmierć obojga małżonków nastąpiła 11 lub 12 stycznia 1995 r. Wskazuje na to m.in. ostatnia nie wyrwana kartka z kalendarza kuchennego z datą 11 stycznia. Ponadto w skrzynce pocztowej należącej do ofiar znajdowały się dwa druki awizo na emeryturę Alicji Szymańskiej z datami 13 i 18 stycznia 1995 r.

Oględziny mieszkania i porozrzucanych przedmiotów wskazują, że sprawcy mogli zabrać biżuterię, pieniądze, w tym stare monety NRD, czechosłowackie, polskie, a także dolary amerykańskie. Ujawniono legitymacje od odznaczeń państwowych, m.in. Krzyża Kawalerskiego Orderu Odrodzenia Polski, Złotego i Srebrnego Krzyża Zasługi na nazwisko Mieczysława Szymańskiego. Znalezione etui od tych odznaczeń były puste.

Na podłodze pokoju leżały rzeczy wyrzucone z szafy, wersalki oraz częściowo opróżnionego kredensu — wyrzucono zawartość szuflad i barku, a nie naruszono szklanej zastawy znajdującej się za szybami. Sugeruje to, że sprawcy znaleźli cenne przedmioty w kredensie i wtedy zakończyli plądrowanie pokoju.

Ustalono, że Mieczysław Szymański był działaczem komitetu blokowego i bardzo aktywnie zajmował się sprawami mieszkańców. Z tego powodu nazywano go „Sołtysem". Szymańscy byli bardzo ostrożni, gdy ktoś pukał do drzwi. W ich mieszkaniu bywały tylko dwie zaprzyjaźnione osoby.

Tym większe zastanowienie wzbudza fakt, że nie ujawniono śladów włamania do mieszkania. Oznacza to, że sprawcy musieli być wpuszczeni do domu przez ofiary.

Policja założyła kilka wersji zabójstwa: mogły go dokonać osoby (lub osoba) z kręgu znajomych albo rodziny ofiar, ktoś, komu Mieczysław Szymański pożyczał pieniądze, obcy, który podszył się pod pracownika administracji albo elektrowni, wreszcie grupa przestępcza działająca po rozpoznaniu sytuacji majątkowej ofiar. W każdym przypadku motywem zbrodni musiał być rabunek, a dodatkowo być może uniknięcie spłaty pożyczki.

Obok zamieszczamy rysunki dwóch toreb ortalionowych, którymi sprawcy zakryli głowy ofiar. Obie torby były formatu trochę większego niż A-4. Jedna, z napisem MIAMI MICE, miała narysowane dwie stylizowane duże żółte myszy. Druga posiadała napisy: CALLIDA i junior company, a między nimi rysunek zaciśniętej dłoni.

Policja prosi osoby, które znają fakty ważne dla śledztwa w tej sprawie i mogłyby przyczynić się do ujęcia sprawców zabójstwa małżeństwa Szymańskich o kontakt z KRP Warszawa-Żoliborz, tel. 603 71 55, 603 71 30 lub z najbliższą jednostką Policji.

dwie stylizowane dwie myszki

Powieszony w lesie

27 września 1994 roku ok. godz. 13.00 w lesie w pobliżu miejscowości Gałków Kolonia, gm. Koluszki znaleziono zwłoki nieznanego mężczyzny, którego zgon nastąpił na skutek powieszenia około 2—3 dni wcześniej.

Rysopis: wiek z wyglądu ok. 40—45 lat, wzrost 170 cm, krępa budowa ciała, twarz okrągła, włosy szpakowate, krótkie, lekko falujące, oczy szarobrązowe, nos średni szeroki, przekrzywiony w prawą stronę ze śladami złamania, wąsy w kolorze włosów, uszy średnie przylegające, zęby białe bez widocznych ubytków, wyraźne płaskostopie.

Ubrany był: kurtka 3/4 z materiału koloru oliwkowego zapinana na suwak i rzepy, ściągana w pasie i u dołu sznurkiem, marynarka dwurzędowa czarna z etykietą na wewnętrznej kieszeni z napisem „OTTO WERNER INTERNATIONAL PARTNERS", bezrękawnik wełniany granatowy w serek, bluza od dresu koloru bordowego z napisem Newyork Tenis Cup, spodnie szare w jodełkę oraz od dresu w kolorze bordowym, podkoszulka biała z krótkim rękawem, slipy białe, dwie pary białych skarpetek, trzewiki szare. Odzież była znoszona, lecz czysta.

Przy denacie znaleziono torbę ze skaju koloru beżowo-szarego, w której znajdowały się: brązowa saszetka ze skóry, zapalniczka jednorazowa zielona, mydelniczka czerwona,

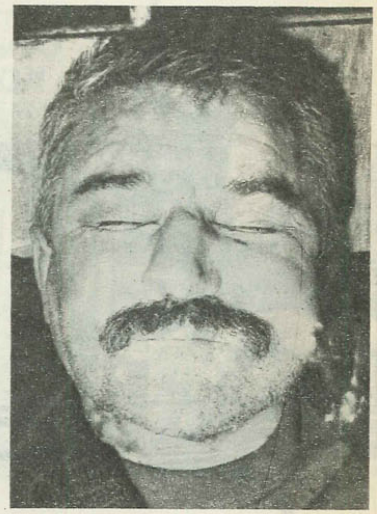

krem do golenia, okulary lecznicze w żółtej metalowej oprawie.

Dotychczas wykonane czynności nie doprowadziły do ustalenia tożsamości denata.

Wszelkie informacje mogące przyczynić się do identyfikacji opisanych zwłok prosimy kierować do Komisariatu Policji w Koluszkach; Komendy Wojewódzkiej Policji w Piotrkowie Trybunalskim, tel. 47-91-65, 47-92-06 lub do najbliższej jednostki policji tel. 997.

Śmierć biznesmena

40-letni Wiesław Tyliński (na zdjęciu) był znanym w swoim środowisku człowiekiem interesu. Mieszkał w Kiełczewie (gm. Kościan, woj. leszczyńskie) i tam posiadał hurtownię artykułów spożywczych „Krakus". Był także właścicielem sklepu w Poznaniu.

Pechowego dla siebie 27 marca 1995 r. wyjechał o godz. 6.00 z Kiełczewa do Poznania samochodem Volkswagen Passat Combi koloru wiśniowego nr rej. LNB 61 18. Miał się rozliczyć z klientami oraz przyjąć zamówienia na towary. Z tej podróży nigdy do domu nie wrócił.

Ustalono, że 27 marca Wiesław Tyliński odwiedził w Poznaniu kilka sklepów i odbierał pieniądze za wcześniej dostarczony towar. Prawdopodobnie miał przy sobie ok. 400 mln starych zł. Ok. 15.00 kontaktował się z Włodzimierzem K., zamieszkałym w Poznaniu przy ul. Pyrzyckiej. Ok. 16.00 przebywał w swoim sklepie przy ul. Głogowskiej. Był tam jednak tylko kilka minut, ponieważ — jak mówił — bardzo się spieszył do domu. Po raz ostatni widziano Wiesława Tylińskiego 27 marca ok. 16.20 przy sklepie patronackim hurtowni „Krakus" (ul. Głogowska 158), gdy wsiadał do swojego samochodu. Następnego dnia żona właściciela hurtowni i sklepu zawiadomiła policję o zaginięciu męża.

31 marca 1995 r. odnaleziono samochód Volkswagen Passat należący do Wiesława Tylińskiego. Auto stało na skwerku przy ul. Langiewicza w Poznaniu, naprzeciw posesji nr 17/18. W samochodzie panował porządek, zauważono jedynie ślady manipulacji przy stacyjce. Wewnętrz znajdowały się firmowe dokumenty ze sklepów i hurtowni.

Niespełna miesiąc po opisanych wydarzeniach, 24 kwietnia 1995 r., w kanale rzeki Obry, w odległości ok. 2 km od Kiełczewa, odnaleziono zwłoki Wiesława Tylińskiego. Na podstawie przeprowadzonych oględzin i sekcji zwłok policja przyjęła,

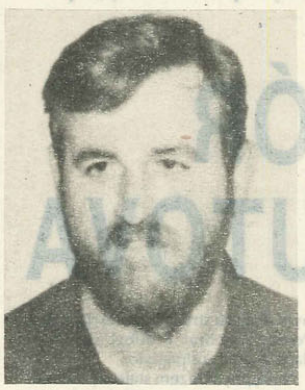

że biznesmen z Kiełczewa stał się ofiarą zabójstwa.

Policja zwraca się więc do osób, które:

— 27 marca 1995 r. ok. 16.20 widziały Wiesława Tylińskiego wsiadającego do swojego samochodu przy ul. Głogowskiej w Poznaniu i odjeżdżającego sprzed sklepu przy ul. Głogowskiej 158.

— widziały go w innych okolicznościach po tym czasie lub miały z nim bezpośredni kontakt,

— miały z nim kontakt 27 marca, a nie składały w tej sprawie jeszcze zeznań,

— widziały moment parkowania samochodu VW Passat nr rej. LNB 6118 wiśniowy metalik 27 marca 1995 r. przy ul. Langiewicza w Poznaniu,

— znają okoliczności pozostawienia samochodu na tej ulicy,

— znają inne okoliczności i sytuacje związane z wymienionym samochodem,

— mogą udzielić informacji na temat zaginięcia Wiesława Tylińskiego oraz okoliczności jego śmierci,

o skontaktowanie się z jednostkami Policji w Lesznie, tel. 20-60-11 lub w Poznaniu, tel. 48-79-97 lub w Kościanie, tel. 12-00-01 albo z najbliższą jednostką Policji, tel. 997.

Powrócił tylko pies

6 marca 1995 r. o godz. 15.00 wyszedł na spacer z psem chory na miażdżycę Feliks Gajownik (na zdjęciu). Następnego dnia rano do domu wrócił tylko pies.

Zaginiony miał 69 lat (ur. 9 kwietnia 1926 r.), mieszkał w miejscowości Jadwinów gm. Przytyk, woj. radomskie.

Rysopis: wiek z wyglądu ok. 70 lat, wzrost 170 cm, krępa budowa ciała, włosy proste, krótkie, siwe, twarz szczupła, cera blada, czoło wysokie, oczy niebieskie, nos mały prosty, uszy duże, braki w uzębieniu w górnej szczęce.

Wychodząc z domu ubrany był w ciemną czapkę z daszkiem, ciemną marynarkę, spodnie dżinsowe, beżową koszulę, beżowy półgolf, białą podkoszulkę, gumowe buty.

Feliks Gajownik miał w kieszeni kartkę z adresem, ponieważ wcześniej był kilka razy poszukiwany z powodu zaginięć.

Informacje w tej sprawie prosimy kierować do Komendy Wojewódzkiej Policji w Radomiu, tel. kier. 0-48 29-191.

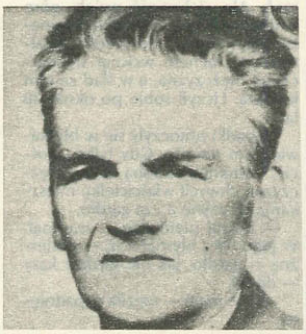

WODA ODDAŁA CIAŁO

„Gdzie jest Krzysztof R.?" — pytaliśmy w numerze 6 „MK 997", opisując niespotykaną historię z Chełma Śląskiego. 17-letni Krzysztof, nie posiadający prawa jazdy kierował w nocy z 8 na 9 stycznia maluchem. Był nietrzeźwy, pił na dyskotece. Zatrzymany przez policjantów, wykorzystał nieuwagę funkcjonariuszy i ruszył do brawurowej ucieczki. W drodze na skróty wraz z samochodem wpadł w nurt spienionej, wezbranej Przemszy.

Choć przez kilka dni policja, strażacy z Mysłowic oraz rodzina i znajomi zaginionego penetrowali dno rzeki na odcinku ponad 1,5 kilometra, nie udało się zlokalizować ani samochodu, ani ciała Krzysztofa. Dopiero pod koniec kwietnia woda wydała swą ofiarę. Daleko, bo aż w Wiśle pod Krakowem. W rodzinnej miejscowości odbył się pogrzeb Krzysztofa R. Prawdopodobnie po upadku samochodu ze skarpy na nadrzecznych łąkach, próbował się wydostać, ale utonął w lodowatej wodzie.

AKP

BESTIALSKI MORD

Do mieszkania przy ul. Grochowskiej na Pradze-Południe w Warszawie zapukało trzech mężczyzn. Otworzył im niczego nie podejrzewający 63-letni Waldemar S. Sądził bowiem, że za drzwiami stoi listonosz lub ktoś z administracji budynku. Prawdopodobnie oczekiwał takiej wizyty.

Został brutalnie wepchnięty do wnętrza lokalu i pobity ciężkim metalowym prętem. Gdy upadł na podłogę, napastnicy związali mu ręce i zakneblowali usta. Szyję nieszczęśliwej ofiary napadu owinięto mocną, samoprzylepną taśmą, a jej koniec przywiązano do klamki. Waldemar S. został na tej taśmie powieszony. Silne zadzierzgnięcie tchawicy spowodowało zgon denata. Skonał na chwilę przed przybyciem byłej żony, 55-letniej Danuty, na którą rzucił się przy drzwiach jeden z bandytów. Po obezwładnieniu kobiety, napastnicy zabrali jej dwa złote pierścionki.

Mieszkanie Waldemara S. zostało gruntownie splądrowane i „przekopane". Co znaleźli w nim trzej bandyci, trudno powiedzieć. Waldemar S. nie ujawniał przed nikim swych majętności. Mogły być dość znaczne. Podejrzewa się, iż napastnicy znali zamożność swej ofiary.

Policjanci z KRP Warszawa Praga-Południe zabezpieczyli sporą ilość śladów, które mogą mieć dużą wagę podczas śledztwa.

EDWARD NOWAK

ZAWÓD — WŁAMYWACZ

Od lat byli dobrymi sąsiadami. Mieszkali obok siebie we wsi Kolonia Kowala. Jako chłopcy lubili wyskoki do obcych sadów na jabłka. To im pozostało we krwi. Przybyła natomiast chęć częstego wypicia kielicha. Ale na zaspokajanie tych chęci brakowało pieniędzy.

Koncepcję miał Józek. Kłuły go w oczy źle zabezpieczone sklepy, pełne wszelakiego dobra. Cieniutkie kraty i kłódki nie stwarzały żadnych poważnych przeszkód.

Chodzili więc sąsiedzi za dnia lustrować wytypowane obiekty, nocą zaś — z workami. Brali alkohol, wyroby elektroniczne, perfumeryjne i tekstylne. Oczywiście, nie pomijając gotówki zostawionej w kasie sklepowej. Później rozszerzyli swe zainteresowania. Wzięli pod uwagę również domki letniskowe, zwłaszcza należące do osób bogatszych.

Wpadli w zasadzkę. Dostali ich w swe ręce policjanci z KRP w Szydłowcu, a rozliczyli z przestępczej działalności — policjanci z WOR KRP w Radomiu i z KP w Kolonii Kowala. Okazało się, że dwaj sąsiedzi mieli na swym koncie: osiem włamań do sklepów i dziesięć — do domków letniskowych. Wobec obydwu prokurator zastosował środek zapobiegawczy w postaci tymczasowego aresztowania.

E.N.

GANGSTERZY, CZY...?

6 kwietnia w Mońkach (woj. białostockie) funkcjonariusze z miejscowego komisariatu próbowali zatrzymać do kontroli nadjeżdżający samochód „Ford Eskort". Nie zważając na sygnał nakazujący zatrzymanie się kierowca przyspieszył i zaczął uciekać.

W wyniku pościgu auto zostało zmuszone do zjechania na pobocze jezdni. Kiedy funkcjonariusze zbliżali się do forda, nieoczekiwanie wyskoczył z niego pasażer, który zaczął uciekać w kierunku pobliskich ogródków działkowych. Jeden z policjantów ruszył za nim w pościg. W pewnym momencie mężczyzna odrzucił torbę przeszkadzającą w biegu. Mimo to, pięćdziesiąt metrów dalej, został zatrzymany.

Wewnątrz reklamówki ujawniono dwa pistolety P-64, które swego czasu zostały skradzione z komisariatu w Sarnakach.

Obaj mężczyźni, 32-letni Zbigniew Z. oraz 37-letni Jan Z. znani są białostockiej Temidzie.

W jaki sposób weszli w posiadanie skradzionych pistoletów? Czy to one były powodem ucieczki przed policyjnym patrolem, wyjaśni postępowanie prowadzone przez białostocką prokuraturę rejonową.

KOBIETA OFIARĄ

Vaclav Mrazek, mały, chuderlawy człowieczek z niewielkiego Homutova, osady górniczej w Czechach, byłby pewnie jeszcze dłużej uprawiał swój proceder, gdyby nie drobna kieszonkowa kradzież, której się dopuścił w miejscu pracy. Dzięki temu ujawniono jeden z kazusów, który trafił do historii europejskiej kryminalistyki pod nazwą „upiora z Homutova".

UPIÓR Z HOMUTOVA

Był jednym z dwanaściorga dzieci w biednej rodzinie, w której na życie zarabiało się drobnym złodziejstwem. Kradł ojciec, ale co zdobył przeznaczał na wódkę. Kradła matka, potem po kolei zaczynały dzieci. Vaclav również zadowalał się byle czym, żeby nie przyciągać zanadto uwagi policji. Pierwszy raz wpadł w 1941 r., ale był to czas wojny, więc jakoś mu się upiekło.

Los się do niego uśmiechnął, gdy poszedł do wojska. Przydzielono go do służby ubezpieczającej transporty UNRA. Cóż to było za życie, tyle różnego dobra można było uszczknąć bez najmniejszego kłopotu i ryzyka. Wszystko można było za to dostać. Przede wszystkim dziewczyny, gotowe na wszystko za zagraniczny ciuch, czy coś do jedzenia. Mówił później „wszystkie dziewczyny leciały do nas, jak do miodu, co myśmy z nimi robili, wszystko, co tylko podpowiedziała wyobraźnia... chyba wtedy to się zaczęło...".

Koniec służby wojskowej oznaczał powrót do rzeczywistości. Szarej, jak poprzednio i biednej. Ożenił się... z rozpędu, wykorzystując środki, jakie zgromadził opiekując się unrowskim eldorado. Odwagi do kobiet też mu jeszcze nie zbywało, ale z upływem czasu zamykał się w sobie coraz bardziej. Zaczepił się w miejscowej kopalni, gdzie pracował w charakterze szatniarza. Korzystając z okazji penetrował kieszenie w górniczych ubraniach, dbając, żeby nigdy za dużo nie zabrać. Potem przyszły dzieci, cała trójka, i zrobiło się ciężko. Żona też jakoś poszarzała.

Praktycznie nie miał żadnych atutów. Mało atrakcyjny, golec, nie przykuwał uwagi młodych kobiet, jak wtedy w wojsku. A wspomnienia wciąż powracały. Natrętnie: „Argumentem" na drugie życie był pistolet, Walther 7,65, zakombinowany podczas służby w wojsku. Sprawdził już, że wycelowany w kobietę od razu zmuszał ją do uległości.

Najlepiej szło mu latem, gdy w pobliskie lasy przyjeżdżały różne wycieczki, jakieś parki albo szukające samotności dziewczyny. Szło mu bezproblemowo, ale z czasem przestało to wystarczać. Odczuwał potrzebę silniejszych doznań.

18 września 1951 roku wybrał się na zabawę do Horzeńca. Bronisławę P. wypatrzył od razu, obserwował ją przez całą zabawę, ale nie zbliżał się do niej. Poszedł dopiero, gdy skierowała się w stronę domu. W ustronnym miejscu strzelił do niej dwa razy. Potem rozebrał i odbył stosunek. Bardzo go to odprężyło.

Następnym razem stało się coś niespodziewanego. Strzelił do Marii D. dwa razy i naraz poczuł, że sperma spłynęła mu po udach. Tak to na niego podziałało, że postanowił szybko powtórzyć doświadczenie. Był trochę zdenerwowany, gdy strzelał do 17-letniej Jarosławy H. Nie trafił, ale mimo to doznał wyraźnej ulgi, że już nie zawracał sobie głowy ściganiem uciekającej.

Policja przyjęła wyjaśnienia Jarosławy z niedowierzaniem. A zwłaszcza to, że napastnikiem była jakaś mizerota. Dopiero oględziny miejsca zdarzenia i ujawnienie łuski, zmieniły pogląd na sytuację. Powołano specjalną grupę operacyjną pod kryptonimem „Bronisława" i rozpoczęto działania poszukiwawcze na ogromną skalę.

Koncentracja na elemencie przestępczym i podejrzanym umożliwiła Mrazkowi dalsze działanie. Trzecią ofiarą okazała się 17-letnia Helena M., upatrzona wśród wycieczkowiczów, którzy zatrzymali się w lesie opodal Homutova. Odczekał, aż znalazła się w bezpiecznym oddaleniu i strzelił. Zrobiło mu się dobrze, ale rozebrał dziewczynę i pobawił się przez chwilę jej płcią.

Niezwykle dramatyczne były wydarzenia 10 sierpnia 1954 roku. Tego dnia tak bardzo potrzebował wrażeń, tak bardzo był podniecony, że gotowy byłby zastrzelić nawet 10 chłopaków, żeby tylko dopaść kolejną ofiarę. Najpierw zabił Karola T., towarzyszącego Lubuszy, a potem ją samą. Później obnażył jej zwłoki i...

Aktywne działania policji powstrzymały na pewien czas Mrazka. Nie chciał „drażnić" policji. Dopiero we wrześniu 1956 roku jeszcze raz wziął do ręki Walthera. Jednak tym razem jego celem nie była kobieta, lecz mężczyzna. A konkretnie sztygar z kopalni, w której pracował. Nazwał go publicznie złodziejem, więc postanowił go zabić.

W domu go nie zastał. Była natomiast żona, która się bynajmniej napastnika nie ulękła i ruszyła na niego z siekierą. Zginęła od jednego strzału. Zszokowaną 11-letnią wnuczkę sztygara okrutnie zgwałcił. Wychodząc zabrał kilka przedmiotów.

Przyłapany na kolejnej kradzieży w pilnowanej przez siebie szatni, nie zwrócił na siebie specjalnej uwagi. Jego wyjaśnienia były wiarygodne. Dopiero na usilne żądania sztygara, w domu Mrazka przeprowadzono rewizję. Znaleziono tam maszynkę do strzyżenia, która okazała się własnością sztygara. W tym momencie 29-letni szatniarz poddał się i już sam wskazał miejsce ukrycia broni.

Mrazek, który już wcześniej zyskał miano „upiora z Homutova", niczemu nie zaprzeczał. Ze skrupulatnością księgowego zrelacjonował swoje dokonania. Opisał dokładnie przebieg wydarzeń, najwyraźniej odczuwając seksualne podniecenie. — Musiałem to robić — wyjaśniał — bo coś we mnie mi to kazało. Pierwszy raz strzeliłem, bo kobieta krzyczała. Potem okazało się, że wystarczyło strzelić i już mi się robiło dobrze. Tak, jak przy normalnym stosunku. Ale z samych stosunków nie rezygnowałem. Odbywałem je, gdy zwłoki były jeszcze ciepłe i takie bezbronne.

Specjaliści medycyny sądowej stwierdzili u Mrazka zboczony popęd płciowy, konieczność dominacji nad ofiarą. Własną biedę i upokorzenia, jakich doznawał ze strony kobiet, rekompensował zabijaniem ich. Był jednak w swych działaniach wyrafinowany i przebiegły. Mordował tylko wówczas, gdy był pewny, że mu się powiedzie.

Za dokonanie 6 morderstw i 14 zgwałceń oraz dziesiątki włamań i kradzieży Vaclav Mrazek został powieszony.

MACIEJ ZIĘBICKI

PO ZASIŁKU

Mieszkająca samotnie Grażyna Z. nie spodziewała się tego dnia żadnej wizyty. Zdziwiło ją więc natarczywe pukanie do drzwi. Przez chwilę zastanawiała się, czy otworzyć. Ale ciekawość wzięła górę nad rozsądkiem. Gdy tylko odsunęła rygiel zamka, do środka gwałtownym ruchem wcisnął się barczysty mężczyzna, a w ślad za nim kobieta. Liczyli sobie po około 30 lat.

Wypadki potoczyły się w błyskawicznym tempie. Gdy tylko „goście" zamknęli za sobą drzwi, mężczyzna chwycił właścicielkę mieszkania, Grażynę Z., za gardło.

— Dawaj pieniądze — warknął. W jego ręku błysnął nóż. — Poderżnę ci gardło, jak nie wydasz kasy — dodał.

— Nie mam — rzęziła napadnięta.

— Dostałaś zasiłek — ryczał mężczyzna ściskając coraz mocniej szyję ofiary. Zaczął ją okładać pięściami, aż upadła na podłogę. Obydwoje przetrząsnęli wszystkie kąty ubogiego mieszkania. Znaleźli 890 000 złotych (starych), ściągnęli ofierze z palców obrączkę i pierścionek.

Z łupem o łącznej wartości ok. 1 200 000 złotych (starych) zbiegli. Grażyna Z. po odzyskaniu przytomności pobiegła do najbliższego komisariatu. Podała rysopisy napastników.

Ustalenie ich nazwisk trwało ok. 12 godzin. Znając już personalia i adresy sprawców, policjanci zatrzymali ich, a prokurator aresztował. Napastnicy zdążyli jednak przepić swój łup.

EDWARD NOWAK

ŚMIERĆ ZA 2 ZŁOTE

93-letnią Agnieszkę M. uduszono dla dwóch złotych. Bulwersująca wymowa jej śmierci wypływa nie tylko z tej groszowej kwoty. Zabójcą okazał się 15-letni sąsiad staruszki. Chłopak dobrze znany i darzony przez nią zaufaniem.

Pani M. mieszkała w kamienicy przy ulicy Katowickiej w Chorzowie, na czwartym piętrze. Na dwór w zasadzie nie wychodziła, choć zachowała jeszcze zdrowie i wigor, a także znakomite samopoczucie psychiczne. Mimo podeszłego wieku, była duszą kamienicy, chętnie przyjmowaną przez sąsiadki. Gotowała sobie sama na węglowym piecu. Wiktuały dostarczała jej codziennie córka, czasami wpadali z odwiedzinami także wnuczek i wnuczka.

Właśnie córka Agnieszki M. stwierdziła śmierć matki, w piątek, 3 lutego. Ciało leżało w kuchni, na podłodze, z twarzą wtuloną w poduszkę. Było ubrane w szlafrok, rajtuzy i skarpety. Mieszkanie było splądrowane. Ktoś przewrócił łóżko, powysuwał szuflady z szaf i kredensu, powyrzucał ubrania i pościel.

— Pojechałem na miejsce z prokuratorem Raczkiem — opowiada szef KRP w Chorzowie nadkomisarz Józef Kogut. — W mieszkaniu M. był już aspirant Ryszard Konieczny, ze swą I sekcją WOR. Technik z KWP ujawnił ślady daktyloskopijne i robił zdjęcia. Lekarz, specjalista z zakresu medycyny sądowej, po wstępnym zbadaniu zwłok, zawyrokował, że denatkę uduszono przez zaciśnięcie ust i nosa. Za taką tezą przemawiały zasinienia i otarcia naskórka na twarzy zabitej.

Droga do sprawców zbrodni prowadziła przez narzucające się czynności wstępne. Po pierwsze, postanowiono poznać obyczaje „babci". Agnieszka M. mimo pogodnego usposobienia, nie była kobietą lekkomyślną ani łatwowierną. Drzwi zaopatrzyła w dwa solidne zamki i kietę (śląskie: łańcuch). Wpuszczała za próg wyłącznie ludzi sobie znanych, poza rodziną, sąsiadkę z góry, dwie sąsiadki mieszkające obok oraz 15-letniego Pawła S. noszącego jej węgiel z piwnicy. Za tę przysługę chłopiec otrzymywał 5000, 10 000 starych złotych.

Paweł jest chłopakiem wyrośniętym. „Studiuje" w siódmej klasie szkoły specjalnej. W rodzinie się nie przelewa, toteż parę groszy w kieszeni za kurs do piwnicy zawsze mu się przydawało. Czasami zatrudniał się do dźwigania mebli w sklepach albo na targowiskach.

Kiedy policja dotarła do jego matki, ta skłamała mówiąc, że nocował w domu, a rano pojechał na bazar do Siemianowic. Policjanci nie poprzestali na owym stwierdzeniu, tylko odszukali kuzynów Pawła, od których dowiedzieli się czegoś innego. Tego mianowicie, że chłopaka zwinęła Straż Miejska, kiedy od pary trzynastolatków wymuszał, grożąc „skopaniem mordy"; od jednego 5000 zł, od drugiego — 10 000 zł.

Dowiedziano się też, że w nocy z 2 na 3 lutego w domu przy Floriańskiej 3 trwała karnawałowa popijawa. Pod nieobecność pani domu przebywającej w szpitalu psychiatrycznym, pił Paweł, jego szesnastoletni kumpel Januszek, biedzina i chudzina wyglądający na pyrtka z 4 klasy podstawówki. Pił także ujek (śl. — wujek) Pawła wraz z 13-letnim synem Darkiem. Gorzałę w postaci 6 flaszek koszernej dostarczyli Paweł z Januszkiem włamując się do sklepu przy ulicy Filarowej. Brechę, która posłużyła im do wybicia szyby, wrzucili na dach.

Co zdarzyło się po tym totalnym ochlaju, powiedzieli policjantom sami zatrzymani smarkacze. Obudzili się rano z ogromnym kacem, nie mając w kieszeniach nawet na „mineralkę". Rada w radę postanowili pójść do Agnieszki M. „Babcia" jeszcze spała, ale słysząc stukanie, wstała, narzuciła na siebie szlafrok i uchyliła drzwi. Poznawszy Pawła odpięła łańcuch. Chłopak zażądał od niej 20 000 starych złotych. Kiedy odmówiła, chwycił ją z tyłu za kark, zwalając na podłogę. Prawie jednocześnie zacisnął dłoń na jej ustach. Potem czując, że kobiecina mdleje, drugą dłonią zacisnął jej także nos.

Januszek w tym czasie buszował już w kuchni. Z szuflady kredensu porwał portfel ze skaju, zdobycz zupełnie bezwartościową, gdyż pani M. trzymała w niej odcinki przekazów rentowych. Paweł splądrował pokój, który zawsze go pociągał, gdyż nigdy, nosząc węgiel, nie był tam wpuszczony. Pieniędzy nie znalazł, choć zajrzał do koperty zawierającej bony oszczędnościowe, warte 20 milionów złotych oraz dwa banknoty milionowe. Twierdzi, że nigdy takiej forsy nie widział, więc go nie skusiła.

Przyznał ponadto, że z kolegami z hilfki (śl. — szkoły specjalnej) dokonał kilku rabunków na wyrwę. Warto poznać metody działania młodych rzezimieszków, wiedząc, że nie potrafili oni liczyć do pięciu, ale kombinować umieli nad podziw. Otóż działali zawsze w trzech. Jeden wyrywał kobiecie torebkę i zwiewał. Dwaj pozostający w pewnym oddaleniu dobiegali do obrabowanej obłudnie wypytując, co się stało, kto ją napadł, ile miała pieniędzy.

Kiedy indziej Paweł okazywał starszym kobietom legitymację szkolną włożoną w etui z napisem „Policja". Żądał otworzenia torebki, by sprawdzić, czy nie przenoszą narkotyków. Naiwne babcie, biorąc wyrośniętego byczka za prawdziwego funkcjonariusza, posłusznie robiły, co kazał. Wtedy on pakował rękę do torebki, wyrywał portfel i zmykał.

Zabiwszy Agnieszkę M. podetknął pod jej twarz poduszkę. Chciał tym sposobem upozorować nieszczęśliwy wypadek, zasugerować, że staruszka przewróciła się i udusiła. 2 złotych na leczenie kaca nie zdobył.

ADAM K. PODGÓRSKI

PIESEK ZDRADZIŁ SWEGO PANA

Krótko po północy na warszawskim Rakowcu, trzech młodych ludzi zaatakowało przechodzącą kobietę. Napastnicy wyrwali jej z rąk torebkę z dokumentami i pieniędzmi, po czym zbiegli. Na miejscu zdarzenia pozostał mały piesek ze smyczą. Pokrzywdzona kobieta wzięła go ze sobą do domu. Zawiadomiła policję.

Wkrótce przed jej dom zajechał radiowóz. Załoga poprosiła ofiarę napadu o uczestnictwo w lustrowaniu okolic i zaułków znajdujących się w pobliżu miejsca napadu.

W jednej z posesji stała grupa chłopców w wieku 16—18 lat. Policjanci zatrzymali się, by sprawdzić ich dokumenty. Siedzący w radiowozie piesek zaczął gwałtownie merdać ogonem, rwać się do drzwi i szczekać. Policjanci wypuścili go na ulicę. Pobiegł on natychmiast w stronę grupy chłopców, wśród których była też dziewczyna. Zatrzymał się u stóp jednego z nich i zaczął się łasić. Nie było wątpliwości, że piesek rozpoznał swego pana.

Chłopców i dziewczynę zawieziono do KRP Warszawa-Ochota. Bez większych oporów przyznali się do napadu i rabunku damskiej torebki.

Jeden z chłopców mieszka z rodzicami na Rakowcu, drugi przyjechał z Piastowa, a dziewczyna pochodzi z Polski południowej. Uciekła z rodzicielskiego domu. Całą trójką zajął się sąd dla nieletnich.

E. N.

DYSKRETNY UROK ZABÓJCY?

Około godz. 21.20, do patrolu policyjnego na dworcu Warszawa—Centralna podbiegł mężczyzna w średnim wieku. Wskazując ręką na drugiego mężczyznę, powiedział:

— Ten facet chciał zgwałcić w pociągu jakąś cudzoziemkę. Wszedł do przedziału, kazał mi się wynosić, żeby pozostać sam na sam z tą kobietą. Pociąg był prawie pusty. Po moim wyjściu cudzoziemka chciała także opuścić przedział, ale on jej nie pozwolił. Chwycił ją za piersi, a następnie przygarnął do siebie. Zaczęła krzyczeć i w końcu wyrwała mu się. Uciekła na korytarz, więc on zrezygnował ze swojego zamiaru.

Policjanci zatrzymali wskazanego im przez świadka osobnika. Jak się okazało, był to 58-letni Grzegorz Z., mieszkaniec Warszawy, odbywający karę dwudziestopięcioletniego pozbawienia wolności za morderstwo popełnione w latach siedemdziesiątych. Jechał do stolicy pociągiem relacji Lublin-Warszawa na kilkudniową przepustkę, którą otrzymał po raz pierwszy.

Młoda i elegancka Angielka potwierdziła zeznania świadka. Szczegółowo opisała przebieg napaści i zmuszania jej do uległości. Ale gdy odpoczęła i przyszło jej podpisać protokół, odmówiła. Powiedziała policjantom, że nie zamierza składać wniosku o ściganie sprawcy seksualnej napaści. Wyszła z komisariatu i więcej nie wróciła. Zatrzymany Grzegorz Z. wystąpił do Sądu Rejonowego dla Warszawy-Śródmieście z zażaleniem. Sąd rozpatrzył je pozytywnie i podjął decyzję natychmiastowego zwolnienia Grzegorza Z. z policyjnej izby zatrzymań.

W związku z takim obrotem sprawy, powiadomiony o wydarzeniu zakład karny również nie znalazł podstaw do cofnięcia Grzegorzowi Z. przepustki.

EDWARD NOWAK

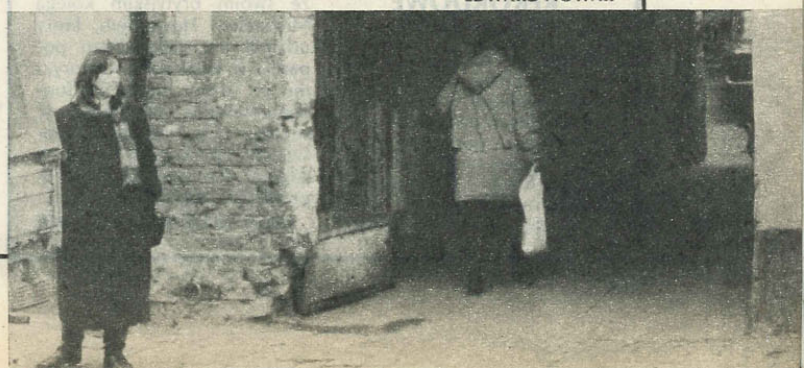

ZAGRANICZNA KRONIKA POLICYJNA

ŚCIGANO GO 305 DNI

Luis Roland, były dyrektor hiszpańskiej „Guardia Civil", po 305 dniach poszukiwań, w tym również przez Interpol, ujęty został w Laosie i natychmiast przewieziony do Hiszpanii. Władze hiszpańskie oskarżają go o zdefraudowanie około 38 mln dolarów. Luis Roland zbiegł z Hiszpanii 29 kwietnia 1994 r., gdy sędzia śledczy, prowadzący przeciwko niemu sprawę o korupcję, zamierzał odebrać mu paszport.

51-letni Roland był w latach 1986—1993 dyrektorem „Guardia Civil" — hiszpańskiej żandarmerii, korpusu liczącego 75 tys. ludzi. Dzięki korupcji (łapówki od przedsiębiorstw budujących koszary, posterunki i inne obiekty dla jego korpusu) oraz przywłaszczeniu sobie dużych kwot z tajnych funduszy służbowych, a także za pomocą fałszerstw i innych machinacji finansowych zgromadził osobisty majątek wart wiele miliardów peset.

Luisa Rolanda ścigało 150 inspektorów hiszpańskich służb bezpieczeństwa.

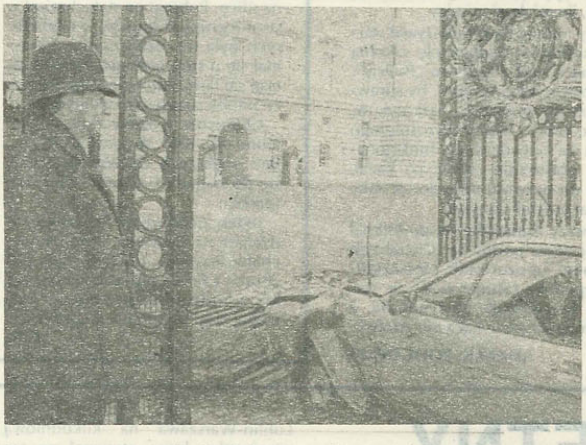

Kierowca tego samochodu, 20-letni angielski student wygrał swój zakład: pod okiem flegmatycznych „bobby" udało mu się staranować jedno ze skrzydeł bramy do pałacu Buckingham. Studenta zatrzymano i skierowano na badania stanu poczytalności przez sądowych psychiatrów.

REKORDOWE KONFISKATY

Konfiskaty narkotyków (54,6 tony) dokonane przez francuskich celników w 1994 roku pobiły dotychczasowe rekordy o 36 proc. — podano w dorocznym raporcie tamtejszych służb celnych. I tak: haszyszu skonfiskowano 49 ton (o 30 proc. więcej), kokainy 3 tony (o 140 proc. więcej), a heroiny 325 kg, czyli o 40 proc. więcej niż w 1993 roku.

Także rekordowy bilans francuskie urzędy celne zanotowały w walce z przemytem papierosów. Przechwycono 185 ton papierosów i tytoniu, czyli 19 razy więcej w porównaniu z 1990 rokiem.

Tegoroczne meldunki francuskich urzędów celnych zapowiadają, iż rok 1995 także będzie obfity w konfiskaty narkotyków. W porcie morskim Marsylii inspektorzy francuskiej policji kryminalnej i celnicy przechwycili 4,5 tony haszyszu, ukrytego pod ładunkiem owoców cytrusowych w kontenerze wyładowanym z włoskiego statku, przybyłego z Bejrutu w Libanie. Natomiast w departamencie Rhone przechwycono 510 kg haszyszu w furgonetce zaparkowanej na jednym z parkingów. Kierowcy pojazdu i jego wspólnikom udało się zbiec. Więcej szczęścia mieli celnicy i policjanci z portu dunkierskiego, którym udało się rozbić jamajską siatkę handlu narkotykami. Aresztowano sześć osób i skonfiskowano 258 kg haszyszu. Narkotyk wykryto na greckim statku, który przypłynął do Dunkierki z Jamajki oraz w dwóch samochodach jadących z częścią przeszmuglowanego haszyszu do odbiorców w Belgii.

WALKA Z TERRORYZMEM ISLAMSKIM — WSPÓLNĄ SPRAWĄ

W Paryżu francuski minister spraw wewnętrznych Charles Pasqua, spotkał się niedawno ze swoim brytyjskim kolegą Michaelem Howardem, który udzielił mu całkowitego poparcia w zwalczaniu terroryzmu ze strony islamskich fundamentalistów. Większą część spotkania obaj ministrowie poświęcili reperkusjom kryzysu w Algierii oraz współpracy europejskiej w działalności policji.

oprac. MARIAN OWCZAREK

MORDERCY Z LUBLINA

25 marca ok. godziny siedemnastej załoga patrolowa lubelskiego III Komisariatu Policji: sierż. Robert Koszowski i st. post. Mariusz Ignatowski, zostali powiadomieni, że w areszcie śledczym przy ul. Południowej czeka na nich dwóch mężczyzn, którzy nad brzegiem starego koryta Bystrzycy, w miejscowości Prawiedniki, odkopali ludzką rękę.

Zabrani do samochodu świadkowie przyjechali na miejsce znaleziska niemal równocześnie z ekipą dochodzeniowo-śledczą miejscowej KRP. Ze słów mężczyzn wynikało, że godzinę wcześniej widzieli z ukrycia, jak dwóch chłopaków zakopywało coś w chaszczach. Gdy tamci odeszli, powodowani ciekawością, rozgrzebali świeżą ziemię. Wtedy zobaczyli ludzką dłoń.

Czy zakopujący zwłoki mogli być mordercami? Wstępnie założono, że tak!

We wskazanym miejscu prócz prawego ramienia policjanci odkopali prawą nogę. Ponieważ zapadał zmrok poszukiwania odłożono do dnia następnego. Przy dziennym świetle kilkadziesiąt metrów dalej od pierwszego znaleziska trafiono na zruszoną ziemię, pod którą znaleziono głowę, lewe ramię i lewą nogę. Mimo dalszych poszukiwań korpusu nie udało się odnaleźć. Wcześniej obu mężczyzn zabrano do Lublina, gdzie po złożeniu wyjaśnień pomogli przy sporządzeniu portretu pamięciowego domniemanych zabójców.

— Jak wynikało z początkowych ustaleń — mówi asp. Krzysztof Ligenza z Wydziału Dochodzeniowo Śledczego KRP w Lublinie — do Prawiednik

SALONY MEBLI IMPORTOWANYCH I KRAJOWYCH

WALTNER

oferują po rewelacyjnie niskich cenach

MEBLE DO WSZYSTKICH WNĘTRZ

Zapraszamy:

- Warszawa, ul. Domaniewska 41 tel. 43-20-01
- Warszawa, ul. Wysockiego 6 tel. 11-04-53
- Warszawa, ul. Waszyngtona 45/51
- Otwock, ul. Rzemieślnicza 6 tel. 779-50-29
- Warszawa, ul. Świetlików 3 (Jelonki) tel. 665-36-63

Z kuponem „MAGAZYNU KRYMINALNEGO 997"

7% TANIEJ

KUPON WAŻNY DO 25.06.1995 r.

magazyn 997 kryminalny

mordercy dojechali autobusem linii 25. Jego drugi przystanek znajdował się na Osiedlu Kruczkowskiego. Zabójcy mogli jednak wysiąść po drodze np. w centrum Lublina, tak więc nie bardzo wiedzieliśmy, gdzie należy ich szukać.

W efekcie skupiono się na zidentyfikowaniu fragmentów ciała ofiary. Ponieważ dłonie były zachowane w dobrym stanie zdjęto zatem z palców odciski i przesłano je do Centralnej Registratury Daktyloskopijnej mając cichą nadzieję, że ich właściciel notowany był już przez wymiar sprawiedliwości.

— Wkrótce otrzymaliśmy odpowiedź — relacjonuje nadkom. Barbara Księżopolska z Wydziału Dochodzeniowo-Śledczego KWP. — Zamordowanym okazał się Jerzy D., karany w przeszłości za kradzieże i niepłacenie alimentów. Co więcej, z analizy stanu odnalezionych fragmentów zwłok wynikało, że zgon nastąpił między 24 a 25 marca.

Wywiad środowiskowy wskazał, że denat mieszkał w Osiedlu Kruczkowskiego stale przebywając na melinach u przygodnych znajomych. Ostatnimi zaś czasy widziano go u Wacława S.

— Nie pozostawało nic innego — kontynuuje asp. K. Ligenza — jak zapukać pod ustalony adres. Ponieważ nikt nie odpowiadał, zdecydowaliśmy się na wyważenie drzwi.

Jako pierwsi do mieszkania weszli technicy kryminalistyki.

— Nie mając pewności, gdzie Jerzy D. został zamordowany, melina została przeszukana powierzchownie. W pokoju technik znalazł tylko starą, zakrwawioną kurtkę. Znajdujące się na niej ślady wskazywały, że pochodzą co najmniej sprzed dwóch tygodni.

Mieszkanie zostało opieczętowane, a policja zaczęła szukać Wacława S. Dwa dni później poszukiwany właściciel meliny sam zgłosił się do komendy rejonowej, z pytaniem czegóż to chcą od niego mundurowi. Pytany o Jerzego D. oświadczył:

— W piątek, 24 marca, siedziałem w domu wraz z trzema kolegami. Jeden z nich to Andrzej L. Pozostali to dwudziestoparoletni: Zenek F. i Rysiek B. 24 kwietnia, gdzieś koło południa przyszedł Jurek D. z prośbą, bym na wieczór i dzień następny pożyczył klucze od chaty. Chciał zrobić balet z panienkami. Ponieważ dał na flaszkę, wyniosłem się więc do znajomego kumpla, dwie ulice dalej. Co stało się z Jurkiem, nie wiem. Od tamtego dnia już go nie widziałem.

Ze słów zeznającego wywnioskowałem, że on sam oraz Andrzej L. mogą przedstawić policji alibi na 24 i 25 marca. W efekcie postanowiono zainteresować się dwudziestoparoletnimi: Ryszardem B. i Zenonem F. Kiedy trafiono do ich miejsc zamieszkania, okazało się, że pierwszy z nich wyjechał przed tygodniem do Francji, gdzie jakoby zamierzał podjąć pracę zarobkową.

Świadkowie, którzy widzieli sprawców zakopujących zwłoki nie rozpoznali na przedstawionych im zdjęciach obu młodych mężczyzn. Czyżby zatem był to fałszywy trop?

Mimo to w prasie ukazały się ich portrety pamięciowe wraz z danymi personalnymi.

— Jakież było nasze zaskoczenie — kontynuuje asp. K. Ligenza — kiedy w dwa dni po opublikowaniu fotokomunikatu do komendy rejonowej zadzwonił Zenon F. Odbierającemu telefon dyżurnemu wskazał miejsce, w którym będzie czekał na załogę radiowozu. Przywieziony do komendy, po nocy spędzonej w izbie wytrzeźwień, został przesłuchany dnia następnego.

W trakcie składania zeznań kategorycznie zaprzeczył, że ma jakikolwiek związek z zabójstwem Jerzego D.

— Kilka godzin później zadzwonił drugi chłopak — mówi nadkom. B. Księżopolska. — On również był pod wpływem alkoholu i podobnie jak kompan, musiał przenocować w izbie.

W trakcie przesłuchania oświadczył, że wieczorem 24 marca między nim a zamordowanym doszło do kłótni o nie oddany dług. W pewnym momencie zdenerwowany Ryszard B. chwycił nóż i wbił go w szyję Jerzego D.

— Kiedy otrzeźwiałem, pobiegłem do Zenona F., by pomógł mi coś zrobić z ciałem — zeznał.

Kto wpadł na pomysł rozkawałkowania zwłok i zakopania ich pod Lublinem? Na razie nie udało się tego ustalić. Wiadomo, że obaj mężczyźni po zamknięciu się w melinie, rozkawałkowali zwłoki. Ręce, nogi i głowę w dwóch turach wywieźli nad stare koryto Bystrzycy. Korpus wyrzucili po przeciwnej stronie miasta na dzikim wysypisku.

— Kiedy pytałem Ryszarda B., dlaczego dla kilku milionów złotych zabił człowieka — kończy asp. Krzysztof Ligenza — ten początkowo nie potrafił znaleźć odpowiedzi. Po chwili jednak powiedział, że gdyby sytuacja powtórzyła się raz jeszcze, bez wahania zrobiłby to po raz drugi. Dlaczego? Na to już nie chciał udzielić odpowiedzi.

Ryszard B. nie potrafi wytłumaczyć, dlaczego pomagał rozkawałkowywać zwłoki.

— Jakoś tak głupio wyszło — oświadczył.

PAWEŁ SZLACHETKO

Wszystkie imiona oraz pierwsze litery nazwisk (prócz imion i nazwisk funkcjonariuszy) zostały zmienione.

JAWNOGRZESZNICA

W lutym br. do jednego ze szpitali województwa lubelskiego przywieziono martwego noworodka. Lekarz, podejrzewając nienaturalny zgon, zawiadomił prokuratora, a następnie policję.

Oględziny zwłok zdawały się potwierdzać podejrzenia. Wskazywał na nie silny mechaniczny uraz głowy, połączony z obustronnym pęknięciem kości sklepienia czaszki i obfitym wylewem krwawym wewnątrzczaszkowym. Ponadto na szyi noworodka zidentyfikowano ślady, które mogły wskazywać na duszenie. W jakich okolicznościach nastąpił zgon i kto go spowodował?

19-letnia Danuta T. zaszła w ciążę z chłopcem z tej samej wsi. Na wieść o własnym ojcostwie Dariusz Z. wyparł się wszystkiego.

Kiedy Danuta T., nie mogąc dłużej ukrywać coraz bardziej widocznej ciąży, oświadczyła rodzicom, że spodziewa się dziecka, wybuchła awantura.

— Najpierw chcieli wysłać ją do ciotki — zezna 20-letni brat Danuty T. — żeby tam urodziła. Jednak siostra kategorycznie się temu sprzeciwiła. Matka płakała, że przed całą wsią spotkała nas taka hańba, ale kiedy ojciec próbował wyrzucić Dankę z domu, stanęła po jej stronie. Wtedy stary nakazał, by siedziała w domu i nikomu ze wsi nie pokazywała się na oczy. „Za parę dni będziemy na językach sąsiadów — miał oświadczyć. — A z twoim kochankiem to ja już się porachuję".

Danuta T. — jak zezna w późniejszym śledztwie — formalnie była w domu więziona. Nie wolno jej było nawet wyjść na podwórko, by „nie obnosić się ze swoim wstydem". Jednak sąsiedzi dowiedzieli się o jej odmiennym stanie. Reakcja była natychmiastowa — wszyscy zakazali własnym dzieciom kontaktować się z „jawnogrzesznicą".

— Ojciec nie siadał nawet ze mną przy jednym stole. Przez cały czas też ostrzegał, że cudzego bękarta nie będzie utrzymywał.

Fragment zeznania brata Danuty T.: „19 lutego rodzice wyjechali rano w odwiedziny do bratanka mieszkającego w sąsiedniej wsi. Gdzieś koło południa zauważyłem, że siostra stała się bardzo blada. Potem często zaczęła wychodzić z pokoju. W pewnej chwili, gdzieś koło godziny szesnastej usłyszałem kwilenie dziecka dochodzące z łazienki. Zacząłem pukać do drzwi, ale Danka początkowo nie chciała otworzyć.

Kiedy kilkanaście minut później w końcu odsunęła zasuwę, brat zobaczył siostrę z dzieckiem na ręku, przy czym pępowina była połączona z łożyskiem. Ponieważ ze słyszenia wiedział, że pępowinę należy przeciąć, pobiegł po nożyczki. Nie był jednak świadom tego, że po odłączeniu od łożyska pępowinę należy podwiązać. Owinął jedynie dziecko ręcznikiem, napalił w piecu i posprzątał w łazience.

Gdy koło północy wrócili rodzice Danuty T., zastali ją w łóżku. Leżący obok niej noworodek dawał bardzo słabe oznaki życia. Wezwano pogotowie ratunkowe, lecz kiedy przybył lekarz dziecko było już martwe.

„Nie chcieliście żywego — krzyczała w histerii dziewczyna — więc weźcie sobie martwego wnuka".

Początkowo wszystkie okoliczności, jak też kilkumiesięczna presja rodziny zdawały się jednoznacznie sugerować, że noworodek został zamordowany.

Prawda okazała się inna. Sekcja zwłok, jak również odtworzenie okoliczności, w których przebiegał poród (na podstawie zidentyfikowanych na ciele noworodka urazów) potwierdziły, że w danym przypadku miał miejsce tzw. poród uliczny. Mianowicie, gdy Danuta T. poczuła pierwsze parcie porodowe, pobiegła do łazienki. Tam nastąpił poród. Noworodek, wypadając z jej dróg rodnych, uderzył szczytem głowy o posadzkę. Obrażenia zidentyfikowane na szyi interpretowane początkowo, jako „ślady wskazujące na próbę duszenia" zidentyfikowano jako: „ślady powstałe w związku z tzw. samopomocą przy porodzie". Inne obrażenia noworodka, jak wynika z ekspertyzy sądowo-lekarskiej, mogły powstać na dzień przed porodem, kiedy to przechodząc przez przedpokój Danuta T. zasłabła upadając na skrzynię z węglem.

Dokładna analiza przebiegu wydarzeń, jakie miały miejsce w trakcie i zaraz po porodzie, umożliwiła ustalenie bezpośredniej przyczyny śmierci noworodka, wykluczając jego celowe zamordowanie.

PaS

Z KAMERĄ NA PIRATÓW

Od pewnego czasu krąży po Warszawie i drogach woj. stołecznego „cywilny" radiowóz, będący własnością Wydziału Ruchu Drogowego KSP. Żeby go nie dekonspirować, marki nie ujawnię, ale proszę mi wierzyć, że jest to wóz dobrej zachodniej firmy. Cóż jednak jest w nim takiego niezwykłego, że wzbudza powszechne zainteresowanie?

Otóż, tak naprawdę, to nie samochód jest w tym przypadku najważniejszy, ale „coś", co ma w środku. Z zewnątrz trudno nawet to „coś" zauważyć, a już na pewno nie w czasie jazdy. Jest to bowiem niewielki obiektyw kamery, zamocowanej z prawej strony kierowcy tuż pod dachem auta. Kamera połączona jest ze zminiaturyzowanym magnetowidem, mogącym zarejestrować na taśmie wszystko to, co życzy sobie „operator". Magnetowid dodatkowo posiada jeszcze kilkunastocentymetrowej średnicy ekran, na którym na bieżąco kontrolować możemy jakość zapisu.

Całość nazywa się magnetowidem drogowym lub z ang. wideoradarem, jest produkcji znanej japońskiej firmy Sony i kosztuje — bagatelka — około 20 tys. USD. Taka cena odpowiada nam już na pytanie, dlaczego nie w każdym policyjnym radiowozie drogówki możemy znaleźć takie elektroniczne urządzenie.

Służbę z wideoradarem na co dzień pełni st. sierż. Dariusz Majewski. Poprosiłem go o opinię i uwagi na temat tego supernowoczesnego sprzętu w polskiej Policji, którego częstsze zakupy w bieżącym roku zapowiedział dyrektor Biura Ruchu Drogowego Komendy Głównej Policji.

— Już sama nazwa wskazuje, z czym mamy do czynienia — mówi st. sierż. Dariusz Majewski. — Jest to urządzenie, działające jak inne radarowe mierniki kontroli prędkości. Tyle że sprzężone z kamerą wideo. Dzięki temu możemy zarejestrować na taśmie każdą sytuację na drodze, oczywiście przed radiowozem, bo obiektyw kamery skierowany jest na wprost. Oprócz obrazu kamera rejestruje również datę, godzinę oraz prędkość „namierzonego" pojazdu. Przy tym warto podkreślić, że dokładność rejestracji jest tak duża, iż pozwala na ekranie dostrzec zarówno numer rejestracyjny pojazdu, jak i twarz kierowcy odbitą w lusterku wewnętrznym.

— Kierowca może więc ujrzeć siebie w roli głównego bohatera tego filmu?

— Oczywiście, jeśli tylko ma jakiekolwiek zastrzeżenia, kwestionuje np. prędkość jazdy czy popełnione wykroczenie, zapraszam go do radiowozu, na krótki seans filmowy.

— I co, szczęka mu opada?

— Może nie tyle szczęka, co oczy wychodzą na wierzch. Już nie dyskutuje, nie oponuje, co najwyżej prosi o „łagodny wymiar kary" i sięga po portfel. Nie ukrywa przy tym zaskoczenia, że nasza policja dysponuje takim sprzętem.

— A co pan robi w sytuacji, gdy nie uda się zatrzymać „pirata drogowego"?

— Wcale nie muszę go „na siłę" zatrzymywać. Wystarczy, że przez kilka minut za nim pojadę, filmując jego wyczyny za kierownicą. Proszę spojrzeć, mam akurat na taśmie takiego delikwenta w mercedesie 190. Jak na dłoni widać jasnoniebieski metalik, numer rejestracyjny WGX..., datę 16.02.1995 r., godzinę 13.50 i prędkość, która oscyluje między 130 a 180 km/godz. Na taśmie mamy również podmiejski krajobraz, łatwo więc zlokalizować miejsce wykroczenia. O, proszę, mignęła nam tablica z nazwą miejscowości Łomianki, a tutaj znak drogowy z ograniczeniem prędkości do 70 km/godz.

— Widzę, że mercedes się oddala, a więc nie dogonił go Pan. Kierowca nawet nie wie, że znalazł się w „ukrytej kamerze".

— Dokładnie tak. Ale za kilka dni będzie musiał stawić się w wydziale ruchu przy ul. Waliców 15 i zostanie dokładnie rozliczony.

— To znaczy...

— Otrzyma mandat karny w maksymalnej wysokości 50 nowych złotych.

— Wydaje mi się, że to niewiele za tak poważne wykroczenie w ruchu drogowym. W Niemczech np. za przekroczenie prędkości o 50 km/godz. na obszarze, gdzie obowiązuje ograniczenie prędkości, kierowca natychmiast pożegnałby się z prawem jazdy na minimum 3 miesiące, a do tego zapłaciłby słoną grzywnę.

— No cóż, my poważniejszymi sankcjami nie dysponujemy. Chyba że kierowca odmówiłby zapłacenia mandatu, wówczas moglibyśmy skierować wniosek o ukaranie do kolegium do spraw wykroczeń.

— Czy po obejrzeniu taśmy wideo, któryś z kierowców odmówił zapłacenia mandatu?

— Jeszcze nie miałem takiego przypadku.

— A jeśli ukarany kierowca chciałby np. na pamiątkę odkupić od policji taśmę z filmem, w którym „grał" rolę głównego bohatera, to co, może?

— Niestety, tego rodzaju działalności handlowej nie prowadzimy.

— Dziękuję za rozmowę. Myślę że mimo ogromnej ceny warto jednak w wideokamery zainwestować. Koszty z pewnością zwrócą się bardzo szybko. Sporo jeszcze czasu upłynie nim niektórzy nasi kierowcy, zwłaszcza ci młodsi, uświadomią sobie, że droga to nie tor wyścigowy, że oprócz nich są też inni uczestnicy ruchu. Mam nadzieję, że pomoże im w tym „ukryta kamera".

JERZY PACIORKOWSKI
zdj. Krzysztof Potocki

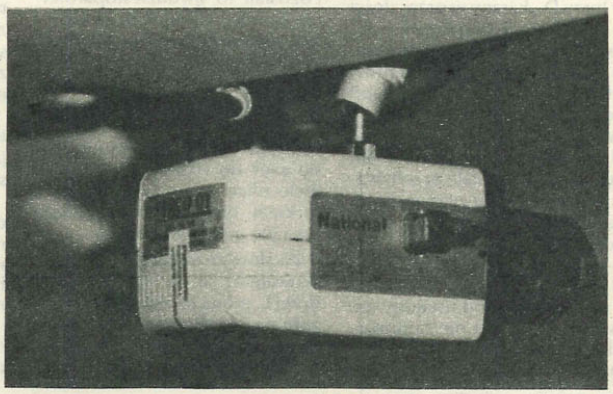

SYSTEM IDENTYFIKACJI NARKOTYKÓW

NIK

produkcji amerykańskiej

Dokładnych informacji udziela dystrybutor:

DELTA SERVICE
Zielonka k. Warszawy
ul. Marecka 66
tel. (0-2) 781-82-58,
fax (0-2) 781-83-95

Radio dla Ciebie

RDC

MAGAZYN MOTORYZACYJNY
WARSZAWA
tel. 44 95 35

FM ○ 67,94 ○ 68,03 ○ 72,53 ○ 92

Firma **INTER • ARMO** poleca

SPRZEDAŻ WYSYŁKOWĄ

wszystkich typów

amerykańskich latarek MAG LITE

Zamówienia telefoniczne 27-26-01 (11.00–18.00), fax 40-78-20
lub listownie 00-048 Warszawa, ul. Mazowiecka 12

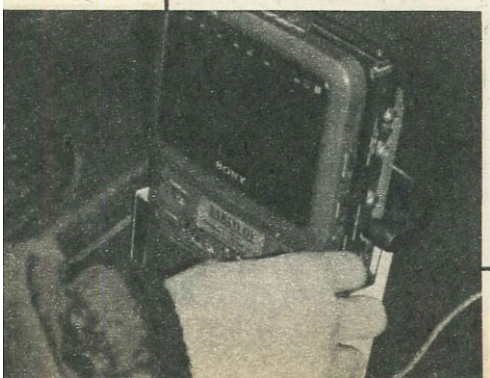

HAKO

Haft komputerowy

....dla Policji, Agencji Ochrony, Straży

- naszywki
- emblematy
- aplikacje

HAKO Sp. z o.o.
ul. Spójni 2a
03 - 604 Warszawa
tel./fax 678 40 81
tel. 678 09 96

CURTIS

10 modeli telewizorów o przekątnej ekranu od 14 do 28 cali, również z PIP

- Najwyższa światowa jakość
- Absolutna niezawodność poparta dwuletnią gwarancją i 11-letnią obecnością na polskim rynku
- Najniższe ceny, bo w sklepach bez pośredników
- Fabryczny serwis w całym kraju

CURTIS

Najlepszy zakup – to zakup z pierwszej ręki w salonach firmowych CURTIS

Warszawa	ul. Surowieckiego 8 (Ursynów obok Megasamu) tel. 644-53-03
Gorzów Wlkp.	ul. Wełniany Rynek 8
Katowice	ul. Mickiewicza 7 tel. 58-94-22, 58-60-63
Lublin	ul. Zamojska 10 tel. 21-395
Myślenice	ul. Reja 12
Nowy Targ	Rynek 12
Poznań	ul. 27 Grudnia 17/19 ul. Św. Marcina 51/53
Nysa	Rynek 14/15, tel. 26-88
Ostrowiec Św.	Al. 3 Maja 1 DH SUPER MEX
Płock	ul. Tumska 16 tel. 62-40-53
Rzeszów	pl. Wolności 4
Szczecin	ul. Niepodległości 15 tel. 34-50-15
Tarnów	ul. Wałowa 41 tel. 21-03-83
Kraków	ul. Wybickiego 1 DH GIGANT

oraz w 2210 sklepach i Domach Towarowych

na terenie całego kraju, zaopatrywanych przez dealerów

CURTIS MARKET

KALIBER

PRZEDSIĘBIORSTWO TECHNICZNO - HANDLOWE

02-009 Warszawa
Al. Niepodległości 243
tel./fax (0-2) 625-44-77

OFERUJE:

BEAMHIT SYSTEMS

System treningu strzeleckiego, opartego na trenażerach laserowych

Zapewnia:
- wykorzystanie WŁASNEJ broni przez cały czas treningu
- trenowanie w KAŻDYM POMIESZCZENIU
- OGROMNE oszczędności AMUNICJI
- BŁYSKAWICZNE poprawienie wyników

UWAGA! Trenażery laserowe BEAMHIT zostały zakupione przez POLICJĘ!

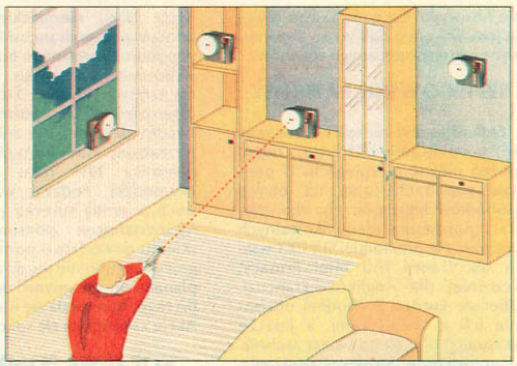

ROSSI
INTERNATIONAL QUALITY IN FIREARMS

- rewolwery wykonane CAŁKOWICIE ZE STALI
- kaliber 38 Spl, 357 Mag, 22LR
- broń do samoobrony, na służbę i na strzelnicę

Smith&Wesson®
QUALITY FIREARMS SINCE 1852

- pistolety i rewolwery legendarnej firmy amerykańskiej
- kaliber 38 Spl, 357 Mag, 9 mm Parabellum, 22 LR
- najnowszy model „SIGMA" – pistolet kal. 9 mm Parabellum, 17 nb. w magazynku, szkielet z tworzywa sztucznego

MANURHIN EQUIPEMENT
MULHOUSE FRANCE

- 5-strzałowe strzelby obezwładniające MR 35 Punch, strzelające kulami gumowymi kal. 35 mm
- zmniejszone, 1-strzałowe wersje

- **KAMIZELKI KULOODPORNE firmy „DANIEL TECHNOLOGIE"**
  - wszystkie klasy kuloodporności kamizelki dla VIP
  - opancerzenie pojazdów
  - wszystkie rozmiary
  - hełmy kuloodporne
- **Amunicja kal. 9 mm Makarow antyterrorystyczna**

römer

- kaski, tarcze oraz inne wyposażenie ochronne

- **WSZELKIE INNE AKCESORIA DLA FORMACJI OCHRONY**
- **SPRZEDAŻ NA RATY**

Któż z nas, choćby raz w życiu, nie sięgnął po literaturę szpiegowską? Tajemniczy agent wyposażony w mikroradiostację, tajnopisy, superbroń działa na wyobraźnię czytelnika. Jeżeli do tego dołożymy najwyższy z możliwych iloraz inteligencji oraz urok osobisty, podbijający każdą kobietę, otrzymamy kwintesencję schematu o wymiarach jarmarcznej bajki, którą w latach 60. uosabiały perypetie Jamesa Bonda, agenta 007.

Prawdziwe narodziny opowieści szpiegowskiej można datować na lata 30. naszego wieku. Do tego czasu zawód agenta uważany był za coś równie poniżającego, jak profesja wydekoltowanych kurtyzan.

LUDZIE o 100 TWARZACH

Zmiany w owych poglądach zaszły dopiero dzięki literaturze, która wykreowała nowy typ bohatera — człowieka o stu twarzach. Pisane wówczas masowo opowieści przedstawiały dżentelmenów, wywodzących się z wyższych sfer, którzy swe nudne i dostatnie życie starali się urozmaicić karkołomnymi wyczynami, które burząc szarość dnia codziennego, służyły również umocnieniu bezpieczeństwa własnego kraju. Najgłośniejsi europejscy bohaterowie tamtych lat to Anglicy: Bulldog Drummond czy Richard Hannay, miłujący królową oraz brytyjskie imperium, nad którym miało nigdy nie zachodzić słońce. Między lunchem a wieczorną obecnością w teatrze od niechcenia ratowali świat przed germańskimi maniakami, gotowymi zniszczyć Europę trującymi oparami gazów bojowych.

Pierwszym, który dostrzegł pożytki płynące z produkowania tego typu historyjek był William Le Queux (ur. 1864 r.). Będąc pisarzem i dziennikarzem na kilka lat przed wybuchem I wojny światowej zaczął nękać francuskie Ministerstwo Spraw Zagranicznych i Ministerstwo Wojny doniesieniami o zidentyfikowanych przez niego szpiegach Niemiec Wilhelma II.

Z czasem, niestety, Le Queux sam zaczął wierzyć w wymyślone przez siebie historyjki. Co gorsza, jego rewelacjom w końcu dali wiarę sami ministrowie wspomnianych resortów.

SZPIEGOWSKIE PAPIRUSY

Odkąd ludzie zaczęli interesować się tajemnicami bliźniego, odtąd można mówić o szpiegach. U podstaw zapotrzebowania na owych osobników legła potrzeba ujawnienia i posiadania identyfikowalnych wrogów. Na przełomie XIX i XX wieku dla Francji byli nimi Prusacy, wcześniej dla Anglików Francuzi. Obecnie Europa Zachodnia utożsamia ich z Libijczykami, a jeszcze wczoraj(?) dla całego świata zachodniego byli nimi: Moskwa i związani z nią sojuszami poplecznicy.

„Drugim najstarszym zawodem świata" angielski pisarz Philip Knightley określił zawód wykonywany przez szpiega. Profesja ta była już znana w starożytnym Egipcie. Wiele wieków później królowie Perscy wydawali setki tysięcy talentów w złocie na opłacenie i utrzymanie rzeszy donosicieli, działających na terenie basenu Morza Śródziemnego, infiltrując najważniejszą potęgę świata starożytnego — Imperium Rzymskie.

W latach poprzedzających wybuch, jak i podczas trwania pierwszej wojny światowej jedynie działalność Maty Hari, niemieckiego agenta zdobywającego francuskie tajemnice w półmroku własnego buduaru, była wykorzystana literacko. Inną sensacją tamtych czasów, która dopiero czterdzieści lat później ujrzała światło dzienne, był sukces dezinformacyjny armii brytyjskiej 17 października 1917 roku na Bliskim Wschodzie. Podczas walk frontowych z armią turecką płk Richard Meinertzhagen podsunął angielskiemu dowództwu pomysł, by sfingować zagubienie teczki z fikcyjnymi planami operacyjnymi i doprowadzić do tego, by dostała się w ręce wroga. Akcja zakończyła się sukcesem.

KOPALNIA POMYSŁÓW

Prawdziwy początek szpiegowskiej literatury faktu to rok 1932, kiedy Campton Mackenzie opublikował „Greek Memories" („Wspomnienia greckie"). W książce opisał swą pracę w tajemniczej wówczas dla przeciętnego Anglika agencji wywiadowczej oznaczonej kryptonimem MI-6*. Prócz wartości faktograficznej była to wówczas jedna z pierwszych prób odsłonienia kulis działania służb specjalnych. Dla Mackenziego pisarska przygoda skończyła się niezbyt szczęśliwie. Na podstawie ustawy o tajemnicy państwowej londyński sąd skazał go na karę grzywny w wysokości stu funtów szterlingów i konfiskatę książki. Co prawda jej egzemplarz znajduje się w Bibliotece Brytyjskiej, niemniej do dnia dzisiejszego kontrwywiad brytyjski MI-5** nie wydał zgody na jej publiczne udostępnienie.

Inne sensacje tamtych lat nigdy nie ujrzały światła dziennego. Dopiero zmagania aliantów z III Rzeszą legły u podstaw powstania nowego i rządzącego się własnymi prawami gatunku literackiego. Nie należy się temu dziwić, jeśli weźmiemy pod uwagę tak frapujące operacje wywiadu sprzymierzonych, jak: złamanie kodu niemieckiej Enigmy przez Polaków w angielskim ośrodku deszyfracyjnym w Blatchey Park, czy też kodu japońskiej floty wojennej w Singapurze przez amerykańskich kryptologów — dostarczały nowych tematów literackich.

Kiedy wojna dobiegła końca „shadows heros" (bohaterowie-cienie), zapragnęli pochwalić się swymi sukcesami. Wbrew naciskom rodzimych kontrwywiadów duża część z owych historii ujrzała światło dzienne. Wielu z byłych pracowników służb specjalnych sięgnęło po pióra, by napisać autobiografie.

W maju 1945 roku Anglicy i Amerykanie nie mieli złudzeń, kto wkrótce stanie się ich nowym wrogiem. Dlatego, chcąc położyć kres wypływowi sekretnych informacji, które mogły mieć wartość w zbliżającej się konfrontacji ze Wschodem, w Anglii stworzono coś w rodzaju centralnej komórki cenzorskiej. Miała ona prawo przeglądać maszynopisy i „doradzać" wykreślenie niestosownych fragmentów.

Mimo zaostrzających się z roku na rok restrykcji wiele z wartościowych pozycji przedostało się przez to urzędnicze sito. Jedną z istotniejszych pozycji tamtych lat była powieść „Operation Heartbreak" (Operacja„ Złamane Serce"). W roku 1952 wydał ją dyplomata brytyjski, Duff Cooper, pracujący wówczas w ambasadzie brytyjskiej w Paryżu.

Książka napisana przez Coopera opowiadała historię Williego Maryngtona, który zmarł w jednym z przytułków londyńskiego City. Mniej więcej w tym samym czasie, sugerował autor, wywiad brytyjski zaplanował akcję, której celem było wprowadzenie w błąd niemieckiego dowództwa frontu zachodniego.

W jednym z burdeli w Soho, który w rzeczywistości mieścił rezydenturę MI-5, przebrano zwłoki Maryngtona w mundur marynarski, wkładając do kieszeni dokumenty, które, jak zakładano, powinny wpaść w ręce Niemców. Dwa dni później, nocą, angielski trałowiec wyrzucił ciało w pobliżu brzegów Hiszpanii.

Trup rzeczywiście został wyłowiony, a znalezione przy nim papiery trafiły do Madrytu, skąd wysłano je do berlińskiej siedziby admirała Canarisa. ***

Powieść wywołała burzę w londyńskiej centrali MI-5, gdyż opisane w niej wydarzenia okazały się prawdziwe.

Cooperowi zaczęto grozić procesem sądowym za złamanie tajemnicy państwowej. Dyplomata jednak zręcznie bronił się przed rozsierdzonymi urzędnikami, oświadczając na łamach gazet, że opisaną historię opowiedział mu osobiście nie kto inny, jak sam Winston Churchill.

Szefowie MI-5 powątpiewali w prawdziwość tych słów, mając dowody, że źródłem, z którego prze-

ciekły tajne informacje był niejaki Ewen Montagu, podczas wojny oficer wywiadu. Postanowiono jednak sprawę wyciszyć.

TEN CHOLERNY DZIENNIKARZ

Niestety, pech chciał, że dziennikarz „Sunday Express" uwierzył w opowieść Coopera i ruszył tropem wyrzuconego do morza brytyjskiego marynarza.

Po wielu miesiącach poszukiwań trafił wreszcie na Cementario de la Soledad, gdzie na płycie nagrobnej odczytał: „William Martin, kwiecień 1943 rok". Dalsze prywatne dochodzenie dziennikarza ujawniło, że Maryngton vel Martin w rzeczywistości był majorem wojsk brytyjskich.

Z początkiem 1953 roku, kiedy kontrwywiad zorientował się, że pismak zamierza sięgnąć do akt personalnych Royal Marines, MI-5 postanowiło popsuć szyki wścibskiemu dziennikarzowi. W jego macierzystej gazecie opublikowano odpowiednio spreparowaną historię. Zatytułowano ją „The man who never was" („Człowiek, którego nigdy nie było"), bardzo życzliwie przyjętą przez czytelników.

Nie zrażony dziennikarz, mimo wywieranych nacisków pół roku później zakończył i opublikował książkę „The unknown courier" („Nieznany kurier"), która ukazała prawdziwe kulisy akcji dezinformacyjnej brytyjskiego wywiadu. Miesiąc po ukazaniu się na rynku angielskim powieść stała się europejskim, a następnie światowym bestsellerem, który w 1955 roku sfilmowała amerykańska wytwórnia „20th Century Fox".

Tak spektakularny sukces książki zachęcił innych do sięgnięcia po pióro. Przez następnych kilka lat powstało wiele prawdziwych i zmyślonych, pogłębionych faktograficznie i zgoła bzdurnych opowieści, których bohaterami byli ludzie cienia.

Od tego też momentu nowy gatunek powieściowy zaczął przebojem zdobywać miejsce na rynku czytelniczym. Wśród ówczesnych autorów znalazł się niejaki Ian Fleming, twórca Jamesa Bonda. Powieściowi zwierzchnicy przyznali agentowi licencję na zabijanie, oznaczoną symbolem „007".

Choć i dziś angielski superagent wraz z rzeszą równie schematycznie stworzonych bohaterów zaprząta uwagę setek tysięcy czytelników, czołowe miejsce gatunku zajmują opowieści przedstawiające autentycznych ludzi i prawdziwe historie. Te, po opublikowaniu i znalezieniu się na półkach księgarskich, nieraz już wstrząsnęły posadami ministerialnymi w niejednym państwie współczesnego świata. O tym jednak opowiemy już Państwu innym razem.

PAWEŁ SZLACHETKO

** MI-6 — znana jako SIS (Secret Intelligence Service), brytyjska tajna służba wywiadowcza. Instytucja cywilna zbierająca informacje wywiadowcze poza granicami kraju i wykonująca inne zadania strategiczne.*

*** MI-5 — Military Intelligence (dawniej wydział 5 wywiadu wojskowego). Pełni funkcje kontrwywiadowcze tak w W. Brytanii, jak i poza jej granicami. Głównym zadaniem jest ochrona tajemnic państwowych oraz zapobieganie sabotażowi i dywersji na wyspach brytyjskich.*

**** Wilhelm Canaris — od 1935 do 1944 roku szef Abwehry, wywiadu Wehrmachtu. Po zamachu na Hitlera stracony w lipcu 1944 roku.*

STRZELANINA NA SIEKIERKACH

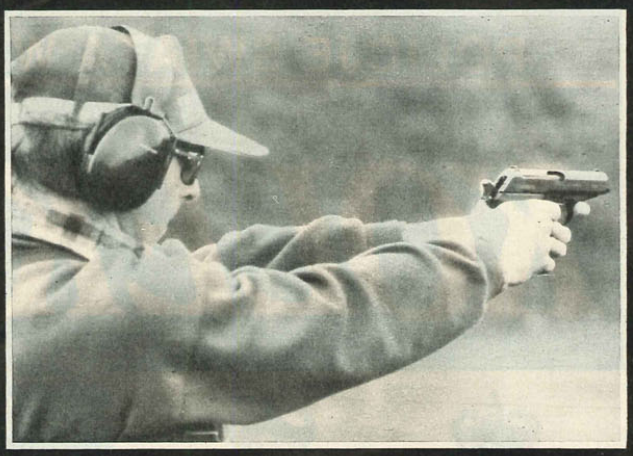

Niestrudzony „Dziadek", tj. Jerzy Maszer, szkoleniowiec KSP, jak zwykle z biglem, zorganizował w majową sobotę zawody strzeleckie z okazji rocznicy uchwalenia Konstytucji 3 Maja. Tym razem o puchar komendanta stołecznego na warszawskich Siekierkach walczyło 29 czteroosobowych drużyn z komend wojewódzkich, Nadwiślańskich Jednostek Wojskowych MSW, UOP, szkół policyjnych. Komenda Stołeczna wystawiła dwie ekipy, a „Dziadek" dziarsko palił do tarcz z trzema emerytami po boku.

Jako że Policja coraz bardziej przypomina pospolite ruszenie, w użyciu były zasłużone P-64, kapryśne austriackie Glocki, kopiące niczym konie P-83. W szranki stanęli też chłopaki z Warszawskiego Ośrodka Telewizyjnego, ale okazało się, że to sami pacyfiści. Po trzech próbnych strzałach przystąpiono do właściwych konkurencji. Pierwsza to strzelanie statyczne do tarczy z odległości 25 m. Na 12 strzałów (2 magazynki) byli tacy, którzy przekroczyli setkę, ale i tacy, co połowę posiali Panu Bogu w okno. W drugiej konkurencji trzeba było przebiec sto metrów i na przydechu z 50 m na czas wystrzelać 12 naboi.

Przechodni kryształowy puchar komendanta stołecznego zdobyła drużyna KSP, która w strugach deszczu i mokrej trawie po kolana zdobyła 814 punktów.

Drugie i trzecie miejsce zajęły drużyny Komendy Wojewódzkiej w Katowicach. Druga drużyna z Komendy Stołecznej zdobyła 765 punktów. W konkurencjach indywidualnych pierwszy był Piotr Kubica z UOP z 219 punktami, drugi — Adam Morawski z Komendy Stołecznej Policji — 213 punktów. Większość zawodników miała po 180—190 punktów. Najgorsi uzyskali zaledwie po 120—140.

Jak zwykle nie zawiedli miłośnicy strzelectwa, w tym i nasza redakcja, fundując cenne nagrody dla zawodników i drużyn. Upominki rzeczowe ufundowały również takie firmy jak: EURO-NET Sp. z o.o., Bank Śląski, Asekuracja Company Ltd., Zrzeszenie Międzynarodowych Przewoźników Drogowych.

Szkoda tylko, że obok „Dziadka" Maszera i jego ludzi niewidoczne było kierownictwo Komendy Stołecznej Policji. Ustaliliśmy, że nowy komendant stołeczny insp. Arnold Superczyński skorzystał wreszcie z krótkiego urlopu, aby odwiedzić rodzinę w Lublinie. Honoru KSP bronili, wręczając puchary i nagrody: zastępca naczelnika Wydziału Kadr i Szkolenia podinsp. Tadeusz Epelbaum, komendant Mokotowa podinsp. Jacek Ziółkowski, szef wyszkolenia Gwardii Jan Werner. Czyżby w Komendzie Stołecznej miało przybyć zastępców, albo też przyszłoroczne zawody odbędą się o puchar „Dziadka"...

ZYGMUNT PODHORODECKI

zdj. Krzysztof Potocki

POLICJE ŚWIATA W PUŁAWACH

KOLEKCJA

W sali ośrodka kultury „Dom Chemika" w Puławach można było obejrzeć hełmy, berety, furażerki, kompletne uniformy, odznaki, naramienniki, a nawet pałki i kabury będące w wyposażeniu policjantów z wielu państw świata, w tym tak egzotycznych, jak: Nowa Zelandia, Puerto Rico, Tajlandia, Republika Dominikany. Był także manekin przedstawiający angielskiego „bobby'ego" w kamizelce dla służby ruchu drogowego. Obrazu całości dopełniały czasopisma policyjne, m.in. brytyjskie, ukraińskie, amerykańskie, duńskie, arabskie. Wszystkie zaprezentowane eksponaty pochodzą z prywatnej kolekcji mieszkańca Puław, Grzegorza Gryza.

Grzegorz Gryz ma zaledwie 19 lat, jest absolwentem Liceum Ogólnokształcącego im. Ks. Czartoryskiego w Puławach, szkoły starej i posiadającej tradycje historyczne. Insygnia i inne rzeczy związane z policjami świata kolekcjonuje od 1989 roku.

— Ile pozycji liczy wystawa?

— W sumie około 1500 różnych pozycji, w tym 160 czapek, 800 emblematów i odznak, 20 kompletnych uniformów. A także kilka kabur, pałek, legitymacji, a nawet amerykańskich listów gończych za wielokrotnymi zabójcami z lat trzydziestych i czterdziestych. Wszystkie pozycje, które posiadam są zakupione, otrzymane w darze lub wymienione z innymi kolekcjonerami.

— Jak to możliwe, że w tak młodym wieku zdołał pan zgromadzić tak różnorodne i obfite zbiory?

— Pomagał mi w tym mój ojciec, starszy sierżant Wiesław Gryz, były funkcjonariusz MO, następnie Policji. Dużo jeździł po świecie i przywoził rozmaite eksponaty. Jeśli chodzi o mnie, to od lat koresponduję z różnymi osobami z wielu krajów na kilku kontynentach. Zwykle są to cywile lub policjanci niskiego stopnia, niekiedy wyżsi oficerowie, pułkownicy i generałowie. W niektórych krajach mam kontakty z urzędnikami administracji państwowej, przedstawicielami ministerstw i komend generalnych, działaczami międzynarodowych organizacji policyjnych jak IPA (International Police Association) lub IPCA Interpol. Korespondujemy i wymieniamy interesujące nas pozycje.

— Od jak dawna interesuje się pan tego rodzaju insygniami?

— Od szóstego roku życia, kiedy to po raz pierwszy włożyłem na głowę milicyjną czapkę ojca. Potem zacząłem uczyć się angielskiego i gdy opanowałem ten język w stopniu biegłym, zacząłem pisać listy do różnych instytucji zagranicznych. Moim pierwszym korespondentem był policjant szkocki. Stopniowo liczba osób, do których wysyłałem listy zwiększała się. Razem z ojcem jeździłem po Niemczech, Belgii i Holandii. Odwiedziliśmy wiele komend i znajomych kolekcjonerów. Byłem także w Anglii, Walii, Szkocji. Przez tydzień byłem gościem szkockiej Akademii Policji. Gospodarze podejmowali mnie gościnnie i serdecznie. Po każdej podróży moja kolekcja znacznie rozszerzała się.

— Z jakich krajów ma pan najwięcej eksponatów, a z jakich najmniej?

— Najwięcej z Niemiec, Holandii, Wielkiej Brytanii, ZSRR, USA, Hiszpanii. Najmniej z krajów egzotycznych, takich jak Hongkong, Izrael, Australia, Monako. Prawdziwym rarytasem, z trudem zdobytym, jest czapka używana w policji algierskiej.

— Emblematy reprezentujące Policję polską są ubogie, zwłaszcza w porównaniu z pozycjami brytyjskimi i amerykańskimi. Dlaczego?

— Może to wydawać się dziwne, ale na największe trudności napotkałem na własnym, polskim podwórku. Większość moich listów adresowanych do odpowiednich, rodzimych instytucji pozostała bez odpowiedzi. Najwięcej rzeczy, które udało mi się zgromadzić, to emblematy milicji. W dużym stopniu zawdzięczam je pomocy kolegów ojca. Brakuje mi jednak wielu pozycji z wyposażenia obecnej Policji, a także przedwojennej Policji Państwowej. Gdyby ktoś mógł mi pomóc, będę wdzięczny.

— Jak oceniają zbiory puławscy policjanci? Czy kierownictwo komendy rejonowej, mieszczącej się tuż obok „Domu Chemika", pomogło panu?

— To przykra, nieprzyjemna sprawa. Policjanci przychodzą, aby obejrzeć zbiory, ale indywidualnie. Głównie są to dawni koledzy ojca. Kierownictwo komendy natomiast, nie pomogło mi w jakiejkolwiek postaci.

— Nie kończmy naszej rozmowy tak nieprzyjemnym akcentem. Czy pańskiej pasji kolekcjonerskiej przyświeca jakaś dewiza lub tzw. wyższy cel?

— Wierzę, że dzięki mojej kolekcji rozsławiam dobre imię polskiej Policji. Mam także nadzieję, iż przez organizowanie wystaw pomogę ludziom zrozumieć, jak ciężka i niełatwa jest praca policjantów, co być może wpłynie na zwiększenie szacunku dla stróżów i obrońców prawa.

PIOTR KITRASIEWICZ
zdj. Krzysztof Mokrzyszewski

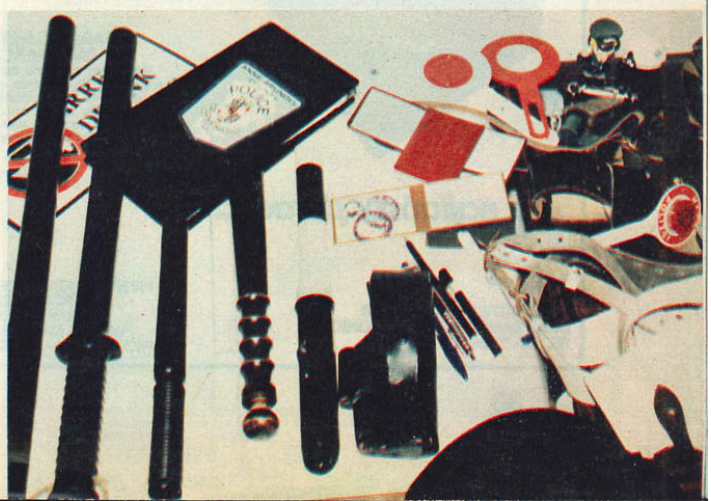

Polaroid KONTRA PRZESTĘPCY (4)

Odcinek ten będzie się nieco różnił od poprzednich, w których opisane zostały systemy kontroli dostępu oparte na różnego rodzaju kartach identyfikacyjnych. Dziś parę słów o innym produkcie firmy Polaroid — ADVANTAGE — unikatowej w skali całego świata technologii zabezpieczeniowej. Może być ona użyta m.in. w przypadku wspomnianych kart identyfikacyjnych, lecz możliwości jej zastosowania są o wiele szersze. Może ochraniać przed fałszerzami: paszporty, prawa jazdy,

ADVANTAGE ZNACZY PRZEWAGA

czeki i wszelkiego rodzaju ważne dokumenty, a także markowe towary, jak perfumy, alkohole, ubrania wyprodukowane przez najlepsze firmy.

ADVANTAGE to, tłumacząc dosłownie z informacyjnego foldera producenta, „wizerunki zabezpieczające". Przypominają normalne hologramy, choć POLAROID wyraźnie zastrzega, że technologia ADVANTAGE nie ma nic wspólnego ze zwykłymi hologramami, ani jakimikolwiek technikami poligraficznymi lub fotograficznymi, lecz jest rezultatem opracowanych przez firmę procesów chemicznych. Ich specyfika znana jest tylko chemikom POLAROIDA i pilnie strzeżona. Wizerunków zabezpieczających ADVANTAGE nie można podrobić żadną znaną obecnie techniką graficzną, np. ich zmieniające się kolory (od pomarańczowego do zielonego — zależnie od kąta, pod którym na nie spojrzymy), są nie do sfałszowania, nawet przy użyciu drukarek laserowych, podobnie zresztą jak ich komputerowych scanerów.

Innego rodzaju zabezpieczeniem jest ścisłe połączenie wizerunków z podłożem, na które zostały one naniesione. Nie jest to proste naklejenie czy wydrukowanie — ponownie dzięki opracowanym przez POLAROIDA procesom chemicznym — następuje zespolenie ADVANTAGE z podłożem na poziomie molekularnym.

Uniemożliwia to jakiekolwiek próby zerwania i podmienienia lub sfałszowania wizerunku zabezpieczającego. Ślady takich działań są od razu widoczne w postaci cienkich kreseczek innego koloru niż reszta wzoru, bądź brakujących partii materiału, które bezpowrotnie zniknęły po naruszeniu wizerunku.

O bezpieczeństwie decydują też dodatkowe walory. Każdy użytkownik ADVANTAGE może mieć swój własny wzór wizerunku zabezpieczającego, a liczba wydanych mu wizerunków nie może być większa niż ochranianych nimi towarów. Te istotne szczegóły nadzorowane są przez pracowników POLAROIDA — specjalnie przydzielonych w tym celu do każdego klienta.

Istotną cechą technologii ADVANTAGE jest łatwość, z jaką można ją stosować w przypadku tak dokumentów, jak i towarów. Wizerunki zabezpieczające mogą być umieszczone na zrolowanej taśmie, z której szybko, seryjnie lub pojedynczo można je przenieść na rzecz, którą chcemy ochraniać. ADVANTAGE znana jest dopiero od niedawna. Zdążyła jednak zyskać już sobie sporą popularność, o czym może świadczyć zamieszczona poniżej lista klientów, którzy z niej korzystają.

Client	Application	Client	Application
USA State Dept.	Driver license	USA INS	Allen Card
Arkansas	Driver license	Mexico	Voter ID
Montana	Driver license	Canada	Visa
Kansas	Driver license	US State Dept.	Visa
Connecticut	Driver license	Argentina	Visa
Maryland	Driver license	Australia	Nat'l Tel. Co. ID
Massachusetts	Driver license	Summer Olympics	ID Card
Hawaii	Driver license	Dubai	Civil Aviation Auth.
Latvia	Driver license	Ministry (embassies and consulates)	applications
Norway	Driver license		
Panama	Passport	USA Secret Service	Classfied
Norway	Passport	USA Army	Classified
Uganda	Passport	USA State Dept.	Classified
Kuwait	Passport		
Thailand	Passport		
Sri Lanka	Passport		
Guatemala	Passport		
Costa Rica	Passport		
USA	Passport (Blue Lane Express labels)		

Nienaruszony dokument np. karta identyfikacyjna

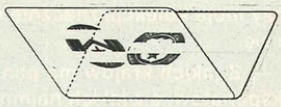

Naruszony dokument np. zdjęta warstwa laminatu z karty identyfikacyjnej

Przykłady śladów po podrobieniu uszkodzenia itp. wizerunku zabezpieczającego: a) brak niektórych partii wizerunku, b) kreski na wizerunku

GAZETA PRAWNA
najnowsze przepisy • przystępne komentarze • praktyczne porady

NOWE, ATRAKCYJNE WARUNKI PRENUMERATY !

To nie zwykła gazeta...

WSZYSCY OPŁACAJĄCY DWIE PRENUMERATY NA DRUGIE PÓŁROCZE br. OTRZYMUJĄ TRZECI EGZEMPLARZ BEZPŁATNIE !

ATRAKCYJNY PREZENT !
Wszyscy zamawiający prenumeratę GAZETY PRAWNEJ otrzymają bezpłatnie "PORADNIK PODATNIKA VAT" !

BEZPŁATNE PORADY PRAWNE !
Wszyscy prenumeratorzy czasopism INFOR-u mogą korzystać z indywidualnych porad prawnych. Pytania należy przesyłać na adres: Wydawnictwo INFOR, 01-938 Warszawa, ul. Wóycickiego 1/3 lub faxem-numer 34-99-07 lub 33-34-01

GWARANTUJEMY PEŁNĄ SATYSFAKCJĘ !
Jeżeli nasz tygodnik lub obsługa nie zadowolą Cię, możesz odwołać swoje zamówienie bez podania przyczyny w terminie 14 dni po otrzymaniu pierwszego numeru uzyskując w całości zwrot wpłaconej kwoty

...to najtańszy doradca

DODATKOWE INFORMACJE ORAZ ZAMÓWIENIA TELEFONICZNE: TEL. 35-02-85, 34-05-42

PRENUMERATA "GAZETY PRAWNEJ" NA II PÓŁROCZE 1995 r 72 zł (720.000) WPŁATA NA KONTO INFOR: PKO BP II O/W-wa 1528-122786-136

KLUB SPORTOWY „PROMIEŃ"
30-114 Kraków, ul. Kościuszki 54
(0-12) 67-36-13, 67-14-86

2-letnia
POLICEALNA SZKOŁA DETEKTYWÓW I PRACOWNIKÓW OCHRONY
(po ukończeniu szkoły średniej)

3-letnie
LICEUM OGÓLNOKSZTAŁCĄCE
o profilu detektywistyczno-ochroniarskim
(po ukończeniu szkoły zasadniczej)

zaprasza wszystkich absolwentów na rok szkolny 1995/96

Zaprasza młodzież na obozy letnie w lipcu i sierpniu – w lasach kieleckich

W programie: walki wschodnie, pływanie

CHCESZ BYĆ SPRAWNY – ĆWICZ Z NAMI!

„KUBI"

Sierż. Leszek Kubiszewski, dzielnicowy z III Komisariatu Policji w Katowicach ma cztery gwizdki. Ale tylko jeden policyjny. Trzy pozostałe służą mu do sędziowania. Sierżant Kubiszewski jest międzynarodowym sędzią w hokeju na lodzie. W grudniu sędziował w finale Pucharu Europy w Finlandii. Wcześniej w mistrzostwach świata grupy A, B i C.

Sport pociągał Leszka od podstawówki. Trenował siatkówkę i koszykówkę. Dwa lata trenował „siatkówkę" w KS Baildon. Łyżwy założył zaraz po przedszkolu, za sprawą wujka, Krzysztofa Zawadzkiego, hokejowego sędziego klasy międzynarodowej. Bardzo chciał grać w hokeja, ale rodzice nie pozwolili. Na lodowisko, katowicki „Torkat" było daleko i małego chłopaka wozić nie było komu.

— Fascynacja hokejem jednak we mnie pozostała — mówi Kubiszewski. — Jeździłem z wujkiem na zawody i jego własne treningi. W pewnej chwili pomyślałem sobie, że mógłbym też posędziować. Wydawało mi się wszystko łatwe i proste. Co to, gwizdać nie potrafię?!

W lutym 1988 roku skończył kurs arbitrów okręgowych. Sędziował spotkania hokeistów najmłodszych grup wiekowych. — Podczas pierwszego „swojego" meczu byłem tak oszołomiony, że nawet nie wiedziałem, o co na tym lodzie chodzi — wspomina. — Ale oprócz mnie, nowicjusza, był na szczęście na tafli doświadczony rozjemca.

Niedługo potem 19-letni Kubiszewski skierowany przez komisję sędziowską zaliczył kurs szczebla centralnego w Bydgoszczy, był najmłodszym jego uczestnikiem. Odtąd, jako sędzia liniowy sędziuje spotkania I i II ligi hokejowej. Po sezonie „Sport" napisał o nim: Sędziowskie Objawienie Roku.

Rok 1990 był dla niego ważny z dwóch zasadniczych powodów. Po pierwsze pojechał do Jaworzna na kurs sędziów międzynarodowych. Bez trudności zaliczył egzaminy: przepisy, jazdę na łyżwach, język angielski. Po drugie, w listopadzie wstąpił do policji. — Przyszedłem odrobić wojsko, ale podczas służby w OPP okazało się, że jest szansa, bym został policjantem. Zdecydowałem się od razu. Nie chciałem stracić dwóch lat na przerwę w sędziowaniu. Na kursie podoficerskim miałem szczęście. Dowódca kpt. Czesław Sproncel ze zrozumieniem podszedł do mojej pasji. Kiedy było trzeba, dawał przepustki. Sędziowałem wprawdzie rzadko, ale za to wyłącznie w I lidze.

Po wstępnym przeszkoleniu trafił do kompanii patrolowej w katowickim III KP. W 1992 roku objął własną dzielnicę. Trudną, położoną w samym centrum miasta. Kto zna Katowice, wie co znaczą ulice: 3 Maja, Dworcowa i plac Dworcowy. Przewalające się tłumy ludzi. Praktycznie cała paleta przestępstw: „kieszonki", „wyrwy", rozboje, wymuszenia rozbójnicze, kradzieże „zwykłe" i „znikające" pojazdy. Kubiszewski z partnerem dają sobie radę. W grudniu 1993 roku został mianowany funkcjonariuszem w służbie stałej.

Nowi przełożeni — zwłaszcza bezpośredni: kom. Zenon Zygmunt — także nie robią mu przeszkód w rozwijaniu pozazawodowych kwalifikacji. Podczas Mistrzostw Świata Juniorów Kubiszewski wystąpił w roli sędziego pomocniczego. W kwietniu 1992 r., jako liniowiec sędziował Mistrzostwa Świata Grupy A Seniorów w Pradze i Bratysławie.

Tak się złożyło, że podczas sędziowanego przez niego meczu wybuchła na lodzie bijatyka między Czechem Musilem a Francuzem Le Moinem. Nie wiadomo, o co im poszło. Podczas wznowienia już się stukali. Potem Francuz zdzielił Czecha kijem, a tamten się odwinął. Po końcowym gwizdku obaj zaczęli się naparzać. Groziło starcie obu drużyn. Leszek nie wiedział, co robić. Jest zasada, że sędzia nie wchodzi „między kije". Gdy zawodnicy się popychają, może interweniować, podciąć im nogi, rozdzielić. Po meczu sędzia kwalifikator miał do niego pretensje.

Na pytanie, czy ktoś, kto nigdy nie grał w hokeja może być dobrym arbitrem w tej dyscyplinie, Leszek Kubiszewski odpowiada: — Tak! Zawodników bowiem pochłania gra. Śledzą wyłącznie krążek, a jego przechwycenie jest ich wymarzonym celem. Ja natomiast muszę widzieć wszystko, nawet to, co dzieje się na krańcu boiska przeciwstawnym do akcji.

W 1993 roku kolejna prestiżowa impreza. Mistrzostwa Świata Grupy B w Eindhoven w Holandii. Podwójna satysfakcja, bo drużyna polska wywalczyła „srebro". Leszka zdumiały rzeczy pozaboiskowe. Kompleks kilkunastu boisk zajmowali od rana do nocy młodzi ludzie, amatorzy, grający w hokeja na trawie i futbol. U nas ich rówieśnicy piją piwo na klatkach schodowych.

Dalej prawie sędziowska rutyna. W Popradzie na Słowacji Mistrzostwa Świata w Grupie C Seniorów. I wreszcie ubiegłoroczny Finał Pucharu Europy w Finlandii. Do Helsinek leciał przez Sztokholm. Gdy dobił do celu, okazało się, że na lotnisku w stolicy Szwecji została jego torba ze strojem sędziowskim, łyżwami i gwizdkami. Ale zatriumfowała skandynawska rzetelność. Przed rozpoczęciem rozgrywek sędziowskie atrybuty dotarły do hotelu.

— Byłem jedynym polskim sędzią na tym turnieju — mówi. — Mecze pucharowe są najciekawsze, ważniejsze nawet od spotkań międzynarodowych. Zespoły walczą o własny wizerunek, zawodnicy są znakomicie zgrani, a przez to emocjonalność i widowiskowość imprez szalenie wzrasta. Sędziowałem trzy mecze, w tym spotkanie mistrzów Rosji — Łady Togliatti z Duklą Trenczin. Rosjanie nieustanie się kłócili, pragnąc zmobilizować jeden drugiego. Gra jednak była do końca fair, bez fauli i chamskich zagrywek. Najbardziej ciekawą chwilę przeżyłem w końcowych sekundach walki pomiędzy Duklą Trenczin a TPS Turku. Przy stanie punktów 2:3 dla Finów, słowacki napastnik strzelił gola łyżwą. Sędzia — Rosjanin — uznał bramkę, ale po mojej interwencji i konsultacji z drugim liniowym, odwołał błędną decyzję.

Kubiszewski podkreśla, że i tym razem był zachwycony atmosferą pucharu. — Kibice zachowują się całkowicie odmiennie niż u nas. Po każdej udanej akcji wstają z miejsc, „falują", powiewają flagami, śpiewają. Wiele wśród nich jest kobiet oraz dzieci, wcale nie obawiających się burd. W polskiej ekstraklasie hokejowej pseudokibice lżą sędziów i zawodników, rzucają w nich butelkami i puszkami po napojach, grożą. Zdarzyło się, że podchmielony „sympatyk" hokeja strzelił do „winnych" jego rozczarowań z wiatrówki.

Koledzy z komisariatu wiernie kibicują „Kubiemu". Nawet ci, których zupełnie nie pasjonuje sport, włączają telewizor, by śledzić obsługiwane przez niego spotkania. Po każdym wyjeździe, wypytują go szczegółowo o wrażenia. Podobnie czyni narzeczona, Aleksandra, choć dotąd nie połknęła hokejowego bakcyla. — Raz tylko oglądała „na żywo" mój występ i więcej nie pojechała — mówi Leszek. — Może to i dobrze, bo wtedy nie mam czasu się nią zajmować, a hokej od kuchni — jak każdy sport — ma niezbyt interesujące oblicze.

Aspirant Mariusz Owczarczyk, którego łapię na moment przed południową odprawą policjantów udających się do służby, rzuca krótko: — Leszek? Jeden z lepszych policjantów. Zdyscyplinowany, sumienny. Żadna woda sodowa. Na sędziowanie poświęca urlopy, odpracowuje wcześniej dni. Nie cwaniakuje, nie wyłudza „wolnych", nie stara się wykorzystać swojej pozasłużbowej pozycji. Policję traktuje tak samo poważnie, jak hokej.

ADAM K. PODGÓRSKI

magazyn 997 kryminalny

WYDAJE KOMENDA GŁÓWNA POLICJI

Zespół redakcyjny: **ELŻBIETA CIERLICA** (redaktor naczelny, 601-61-26, 48-98-10 lub MSW 149-70), **Waldemar Gajewski, RYSZARD HRYCYK** (red. graficzny), **Przemysław Kacak, Piotr Kitrasiewicz, Tadeusz Noszczyński, Edward Nowak, Jerzy Paciorkowski, MARIA PAWLAK** (sekretarz redakcji, 601-61-32, 48-14-30), **Adam K. Podgórski** (oddział redakcji w Katowicach, 510-221 w. 1965), **Zygmunt Podhorodecki, Elżbieta Sitek, Beata Tallar, Paweł Szlachetko, Hanna Świeszczakowska, MARCEL TABOR** (zastępca red. naczelnego, 601-61-72, 48-14-30), **Krzysztof Zaczkiewicz** (red. techniczny)

FOTOREPORTERZY: **Krzysztof Mokrzyszewski, Krzysztof Potocki**

ADIUSTACJA I ŁĄCZNOŚĆ Z CZYTELNIKAMI: **Agata Guzdek-Wrotna** (601-61-15)

KOREKTA: **Małgorzata Boruta, Elżbieta Mirowska**

KOLPORTAŻ I MARKETING: **Teresa Tomaszewska** (601-68-66)

STALE WSPÓŁPRACUJĄ: **K. Górniak, S. Jung. J. Kirzyński, Z. Matwiej, M. Owczarek, Z. Razmuk, M. Sokalska, L. Terpiłowski**

ADRES REDAKCJI: 02-514 Warszawa 12, ul. Domaniewska 36/38, Telefon sekretariatu: 601-61-26, kasa 601-60-86, tel./fax 601-68-67 lub MSW 168-67. Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych oraz zastrzega sobie prawo skrótów i zmiany tytułów nadesłanych artykułów.

PRENUMERATA

I. Zamówienia na prenumeratę od osób cywilnych i instytucji przyjmują terenowe oddziały Zakładu Kolportażu Prasy i Wydawnictw „Ruch".

II. Funkcjonariusze, pracownicy cywilni Policji oraz emeryci i renciści resortowi zamawiają prenumeratę u naszego kolportera w najbliższej jednostce Policji.

Reklamacje w sprawie kolportażu kierować pod adresem redakcji: **ul. Domaniewska 36/38, 02-514 Warszawa 12, tel.: 601-68-66, 601-61-26. Fax: 6016867. Konto bankowe: BPH O/III Warszawa nr 320049-433-130-1 ZAG KGP (prenumerata).**

Wyłączny dystrybutor w USA (wschodnie wybrzeże) Andrew Artistic Distribution INC. Janusz Czuj, 419 Manhattan Ave., Brooklyn NY 11222 tel.: (718) 388-6770, (718) 384-6050 fax: (718) 387-0484.

OGŁOSZENIA: Przyjmujemy pod adresem redakcji „MK 997". Cena: słowo — 1 zł, cm² — 2 zł. Kolorowe dwukrotnie droższe. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada.

DRUK: Wojskowe Zakłady Graficzne, 00-950 Warszawa, ul. Grzybowska 77

numer zamknięto: 2 VI 1995 r.
Zam. 50476
REDAKTORZY DYŻURNI:
HANNA ŚWIESZCZAKOWSKA
PRZEMYSŁAW KACAK

MANIAK-SADYSTA

W Petersburgu aresztowano 23-letniego Igora Irtyszowa, który dosłownie wypatroszył 8-letniego chłopca Kostię Kuźmina. Sadysta w ciągu niewielu sekund wyciął dziecku krocze i wyrwał jelita. Wszystko to wydarzyło się w windzie jadącej na piętro, na którym znajdowało się mieszkanie Kostii. Matka dziecka widziała przez okno, jak syn wchodził do budynku i czekała na niego w drzwiach mieszkania. Maniak zdołał się jednak ukryć i aresztowano go dopiero po jakimś czasie.

W trakcie śledztwa okazało się, że popełnił on trzy inne podobne przestępstwa wobec dzieci z Petersburga. Nie wyklucza się, że jest on winien także gwałcenia i okaleczania dzieci w innych regionach Rosji. W Petersburgu Irtyszow przebywał od roku, a wcześniej mieszkał w Soczi, Krasnodarze i Moskwie, gdzie dokonano podobnych przestępstw.

(gi)

KRZYŻÓWKA NR 12

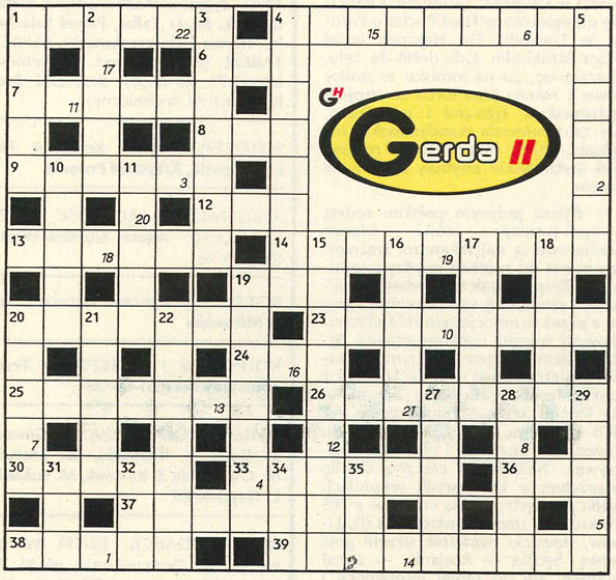

Poziomo: 1 — odbył się „Łomiarza", 4 — przełożony w policji, 6 — ono i WNP, 7 — dawniej: berło królewskie, 8 — do młodości Ci znana, 9 — dowódca wojskowy w dawnym Egipcie, 12 — Cassius Clay, czyli Muhammad..., 13 — egzemplarz jedyny, niepowtarzalny, 14 — atakujący, 19 — głos osła, 20 — miasto i ważny port naftowy nad Dunajem (Rumunia), 23 — optyczny, mechaniczny, w broni palnej, 24 — autor „Tajemnic Paryża", 25 — poważanie, szacunek, 26 — miasto na Borneo, 30 — żona Mahometa, 33 — wypadku — przedstawiona przez sprawcę, 36 — czerwony — groźny, 37 — krzew lub drzewo z rodziny nastroszowatych, 38 — do wzięcia, 39 — krwotoku — przez założenie opaski uciskowej.

Pionowo: 1 — gazety, tygodniki, miesięczniki, 2 — dramat muzyczny, 3 — namiastka, produkt zastępczy, 4 — maszynowe strzelające, 5 — wywiadowca w cywilu, 10 — dawniej: czołgi, 11 — ulica, przy której mieszkał Holmes, 15 — różne, np. samochodowe drobiazgi, 16 — Woody..., 17 — rzeka, lewy dopływ Tobołu, oraz miasto w Rosji, 18 — zarośla wierzbowe, 19 — miasto nad Kurą (Gruzja), 20 — producent zamków Tytan, 21 — tej marki nasz ciągnik, 22 — Ernesto „Che"..., 27 — w tenisie: mocne ścięcie piłki, 28 — w nim siedzi sobie jedwabnik, 29 — jezioro na Pojezierzu Iławskim, 31 — prawy dopływ dolnej Odry, 32 — Tomasz, poeta, przyjaciel Mickiewicza, 34 — *Alea iacta*..., 35 — wuj zza oceanu.

Po rozwiązaniu krzyżówki należy odczytać hasło, przysłowie, które tworzą litery w kratkach oznaczonych w prawym dolnym rogu cyframi od 1 do 22:

(.....) (.....), (.....) (.....) (.....)

1 2 3 4 5 6 7 8 9 10 11 12 13 14 15 16 17 18 19 20 21 22

Rozwiązania (samo hasło) prosimy nadsyłać pod adresem redakcji w ciągu dwóch tygodni od daty ukazania się numeru, na kartkach pocztowych z naklejonym kuponem.

BOŻENA CHMIELEWSKA

Wśród czytelników, którzy nadeślą prawidłowe rozwiązania rozlosujemy nagrody ufundowane przez Przedsiębiorstwo Innowacyjno-Wdrożeniowe GERDA II: ● zamek elektroniczny Tytan ZE-1 ● zamek Tytan ZX.

KRZYŻÓWKA NR 12/95

Gerda II

Rozwiązanie krzyżówki nr 8:

„Dobro to nie jest wiedza, to czyn"

Nagrody ufundowane przez Przedsiębiorstwo Innowacyjno-Wdrożeniowe wylosowali: zamek elektroniczny Tytan ZE-1 — **Michał Żegliński** z Radomia, zamek Tytan ZX — **Janina Malewska** z Siemiatycz (woj. białostockie).

zdj. Paweł Pestka

MAFIA WYKORZYSTUJE MŁODOCIANYCH PRZESTĘPCÓW

Działające w południowych Włoszech gangi zorganizowanej przestępczości coraz częściej wykorzystują nastolatków do różnych działań. Ostatnio np. pod Neapolem aresztowano 15-letniego Ciro C. przyłapanego na handlu narkotykami w biednych dzielnicach położonych pod Wezuwiuszem.

Włoski urząd antymafijny (DEA) podał ostatnio, że 72,9 proc. zabójstw popełnianych z premedytacją przez nieletnich Włochów dokonano w południowej części kraju, gdzie działają sycylijska Cosa Nostra, neapolitańska Camorra, kalabryjska N'drangheta i pulijska Santa Corona Unita. Nieletni na ogół nie są karani, co zachęca mafijne klany do wykorzystywania ich w przestępczych celach.

Raport DEA stwierdza, że w warunkach dużego bezrobocia, słabnącego zaufania do systemu społecznego i wymiaru sprawiedliwości, wielu młodych ludzi dochodzi do wniosku, że jedyną szansą zrobienia „kariery" jest przyłączenie się do mafijnych gangów. Liczba młodocianych przestępców w wieku poniżej 14 lat zwiększyła się we Włoszech z 5398 w 1989 r. do 9036 w 1993 r. Liczba zabójców mających mniej niż 18 lat wzrosła w ciągu pięciu lat czterokrotnie — z 34 do 116.

(gi)

ZAPAMIĘTAJ:

Trzeba umieć zachowywać zasady i zmieniać poglądy.

Jerzy Giedroyć

NARZECZONE NA SPRZEDAŻ

Policja chińska uwolniła ostatnio ponad 500 kobiet sprzedanych w charakterze żon chłopom w prowincji Mongolia Wewnętrzna. Kobiety pochodziły niemal z całych Chin, a sprowadzaniem i sprzedażą „narzeczonych" w Mongolii Wewnętrznej zajmowały się wyspecjalizowane gangi.

W 1994 roku w prowincji tej rozbito 33 takie organizacje przestępcze. Aresztowano 168 handlarzy i uwolniono 487 kobiet oraz ich dzieci. W styczniu br. w Mongolii Wewnętrznej wyswobodzono 37 kobiet w wieku 16—24 lat, porwanych z Syczuanu, na południu Chin.

Podobną akcję przeprowadzono ostatnio w prowincji Shaanxi (płn. Chiny), gdzie w ciągu zaledwie trzech dni uwolniono ponad 200 porwanych kobiet, umożliwiając im powrót do domu.

(gi)

MYŚLI

Wszystkich nas przez całe życie uczono zwyciężania. Byliśmy dumni z naszych zwycięstw, podczas gdy klęski i porażki świadomie przemilczano.

Bułat Okudżawa

Po okupacji sowieckiej kultura polska ustępuje miejsca rynsztokowi amerykańskiemu.

Maciej Słomczyński

KAMPOL SYSTEM OCHRONY SKRAM

Agencja Ochrony Mienia
KAMPOL
Zielonka
ul. Przemysłowa 2
tel. 781-04-82
fax 781-04-83

★ Konwojowanie
★ Alarmy – montaż
★ Monitorowanie obiektów
★ Pewność i odpowiedzialność
★ Ochrona grupami interwencyjnymi
★ Lojalność